NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 20 kwietnia 1907. Nr. 16.

Napad na dwór.

(Treść na stronie 2).



Treść numeru: Zgon prezydenta miasta Lwowa. — Cesarz w Pradze. — Jubileusz dobroczyńcy ludzkości. — Zamach na lekarza. — Echa zjazdu w Rapallo. — Pogrzeb zamordowanego redaktora. — Zajęcie Udżdy. — Aresztowanie wiecu w szkole. — Emancypantki rosyjskie. — Wykrycie morderców. — Sufrażystki. — Zabójcy Jana Gadomskiego. — Głód w Rosyi. — Kronika tygodniowa. — Z bruku lwowskiego. — Tragedya miłosna. — Z Dumy. — Pożegnanie lekarza. — Muzyka w Krakowie itd. itd.

Zgon prezydenta miasta Lwowa.

Stolica kraju, miasto Lwów, serdeczną okryła się żałobą. Bo zmarł przedwcześnie jeden z najlepszych jej synów i wzorowy jej gospodarz, zmarł mąż niezwykłej miary, co dzieciństwo spędził w warstacie i przy miechu kowalskim, a skończył na stolcu prezydenckim. Zmarł Michał Michalski!

Nagle i zupełnie niespodziewanie wyrwała go śmierć bezlitośna z pośród obywatelstwa lwowskiego. Przestało bić na zawsze to proste, szczere, dla każdego otwarte serce i zamknęły się na wieki te duże, jasne oczy, co z taką ufnością w przyszłość patrzały, a twarz jego pogodną, szczerą, okraszoną zawsze dobrotliwym uśmiechem, śmierci okryła bladość.

Zmarł Michał Michalski!

A cały Lwów okrył się żałobą. Boć ten Michalski — to jego dziecię. Tu ujrzał w roku 1846 światło dzienne, tu spędził młodość jako terminator rzemieślniczy, stąd — na pierwszą wieść o wybuchu powstania — ruszył w szeregi bojowników o wolność narodu i jako szeregowiec Żuawów walczył w oddziele Komorowskiego pod komendą kapitana Fiszera; tu w roku 1873 został majstrem kowalskim, a wnet potem otrzymał obywatelstwo i mieszczaństwo. Jako młody, pełen energii mieszczanin, pełen najszczerszych chęci służenia rodzinnemu miastu, wszedł w roku 1880 po raz pierwszy w skład rady miejskiej. I odtąd posuwał się szybko naprzód. W 1889 został wybrany I. delegatem, w 1896 drugim wiceprezydentem, w trzy lata później pierwszym. A odznaczenia te zawdzięczał tylko swej własnej inteligencyi, tylko swej żelaznej wytrwałości i pracowitości, wspartej gorącą, serdeczną miłością Lwowa. Te zalety podniosły go na czoło lwowskiego mieszczaństwa i jako najgodniejszego tego mieszczaństwa przedstawiciela, powołały w r. 1905 na stanowisko prezydenta miasta.

A jakim był ś. p. Michał Michalski jako majster kowalski i potem jako początkujący radny miejski, przystępny dla każdego, skromny, uczynny i otwarty, takim pozostał do ostatnich chwil życia. I choć w salonach recepcyjnych są i dywany i woskowana posadzka, nie bał się ich nędzarz, nie bała przekupka, ni rzemieślnik, robotnik, nie bało się salonów ni przedpokojów pospólstwo, gdy Michalski w nich rezydował. Bo był to człowiek prosty, a rozumny i pogadać umiał z każdym, kto tylko i w jakiej sprawie i o jakiejkolwiek porze przyszedł. I był przystępny dla ludzkich bolów, bo je rozumiał i odczuwał. I jeśli nie inaczej, to bodaj dobrem, ciepłem słowem pocieszyć umiał Więc go Lwów cały kochał i był z niego dumny.

A gdy w ubiegłą sobotę w południe rozeszła się ponura wiadomość o jego śmierci, nie było nikogo we Lwowie, ktoby nie miał poczucia katastrofy, która dotknęła miasto. Żal serdeczny i powszechny, troska szczera o przyszłość Lwowa, któremu naraz gospodarza zabrakło, oto uczucia, jakie nagła śmierć śp. Michalskiego wywołała.

Cześć jego zacnej pamięci!

Napad na dwór.

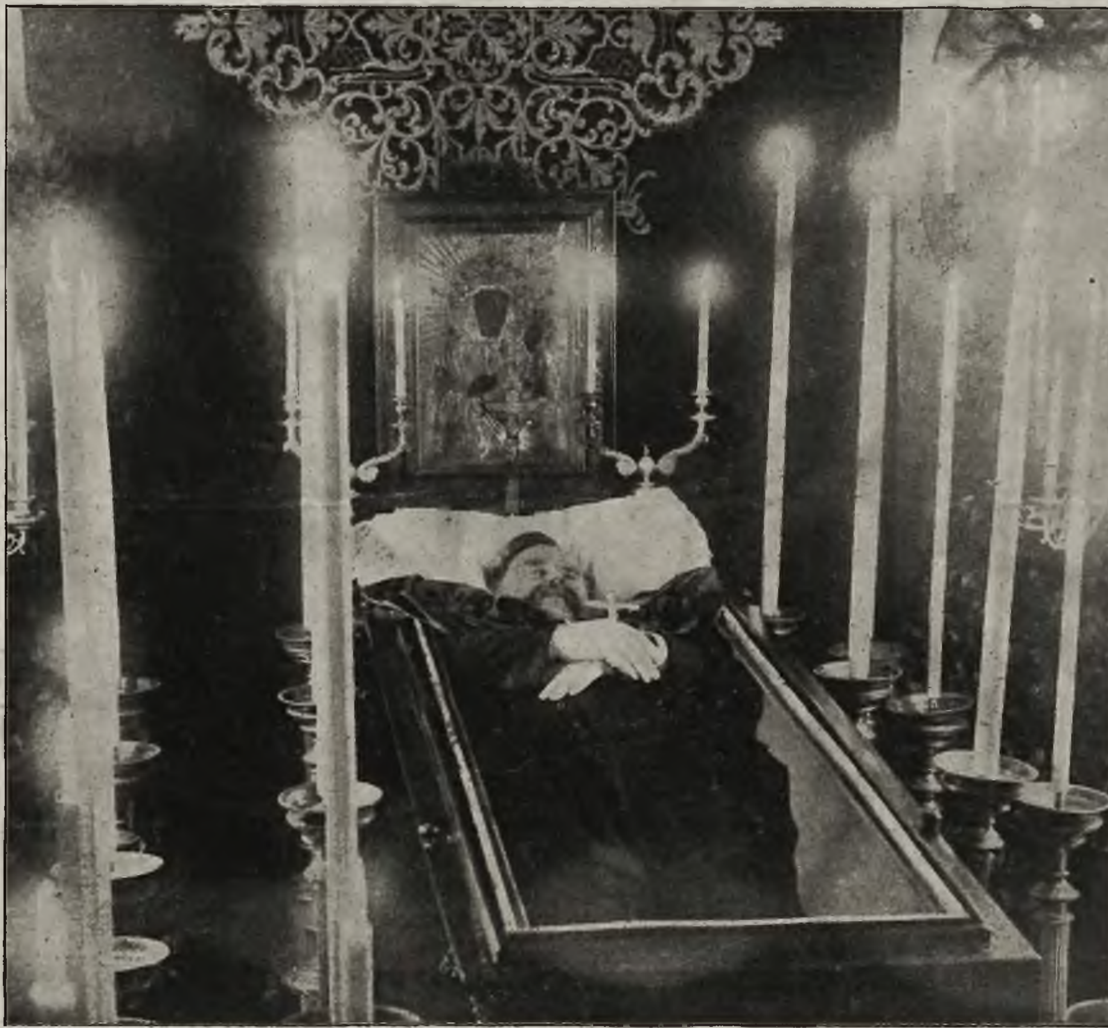
(Do illustracyi tytułowej).

Po wsiach Królestwa Polskiego, mimo zmniejszenia się na ogół klęski bandytyzmu, nie ustają przecież śmiałe napady na dwory. W ostatnim czasie w różnych okolicach ponowiły się podobne napady. Najgłośniejsze stało się wtargnięcie rabusiów do dworu obywatela ziemskiego p. Pawła Rolanda w Żabiej Woli w powiecie lubelskim. Dziedzic powrócił przed wieczorem do domu z Lublina z pieniądzmi, których część zaraz wręczył ekonomowi dla dokonania wypłaty czeladzi. Wtem zaledwie się ściemniło, wpadło do dworu czternastu bandytów. Pod groźbą rewolwerów napastnicy ubezwładnili na wstępie do oficyny ekonoma, któremu odebrali resztę pieniędzy, pozostałą z wypłaty, poczem zamknęli służących, zgromadzonych w oficynach. Tu pozostało kilku bandytów na straży przy uwięzionych, reszta zaś udała się do mieszkania dziedzica. Trafili na chwilę, kiedy służąca niosła kolacyę z kuchni do pokoju. Złapali przerażoną dziewczynę i trzymając ją przed sobą, wkroczyli do jadalni. gdzie właśnie znajdował się pan Roland z rodziną. Zoryentowawszy się, co zaszło, dziedzic sięgnął po rewolwer, lecz w tej chwili padł już strzał ze strony napastników. Kula ugodziła p. Rolanda w prawą rękę, uniemożliwiając mu użycie rewolweru. Jeden z bandytów zmierzył jeszcze raz do dziedzica, lecz tym razem rewolwer (rzecz dziwna w brauningu) wcale nie wypalił. Inni zaraz przystąpili do szczegółowej rewizyi osobistej i zabrali wszystko, co było do zabrania.

Tymczasem zdołał jeden ze służących wyrwać się z rąk bandytów i uciec przez ciemne pokoje i kurytarze na górę. Zabrał po drodze ukrytą w wiadomem mu miejscu broń i miał zamiar zacząć z góry strzelać do napastników. Lecz rabusie musieli to przewidzieć i nie zdecydowali się gonić zbiegłego służącego, domyślając się, iż mógłby ich po ciemku na górę wchodzących powystrzelać z łatwością. Zadowoliwszy się tedy rabunkiem, wpadli na dobry pomysł bezpiecznego wycofania się. Oto zmusili samego p. Rolanda i ekonoma do wyprowadzenia ich na dziedziniec, skąd łatwo mogli już dalej umykać z łupem. Służący zaś z góry widział ich wprawdzie na dziedzińcu, lecz mimo, że stał w pogotowiu z bronią nabitą, nie mógł strzelać, by nie trafić przypadkiem w tłumie opryszków samego dziedzica lub ekonoma.



Zgon prezydenta miasta Lwowa Ś p. Michał Michalski.



Zgon prezydenta miasta Lwowa: Ś. p. Michał Michalski na katafalku w Ratuszu.

Pogrzeb zamordowanego redaktora.

W czasie, gdy nie ukończono jeszcze procesu przeciw mordercom posła Hercensztajna, wysłańcy czarnych secin zgładzili drugiego bojownika ruchu wolnościowego w Moskwie, również posła do pierwszej Dumy, Grzegorza Jołłosa, redaktora moskiewskiego organu kadetów, „Ruskich Wiedomosti“. Nazwisko Jołłosa, przedtem poza granicami Rosyi nieznane, nabrało naraz rozgłosu w całym świecie. Zabity redaktor pochodził z rosyjskiej rodziny żydowskiej. Matka jego jest siostrą ordynatora szpitala żydowskiego w Warszawie, dra Denisa Jurowskiego, ojciec był dyrektorem banku w Odesie, gdzie też na świat przyszedł Grzegorz w r. 1863. Ukończywszy uniwersytet w Kijowie, zdał w Moskwie egzamin na magistra prawa. W dziecinnych latach zaprzyjaźnił się ze słynnym później działaczem Hercensztajnem, który wychowywał się w domu jego rodziców. Odtąd łączyły ich zawsze stosunki przyjazne, wspólnie pracowali na niwie ruchu wolnościowego w Rosyi, razem zostali

powołani do pierwszej Dumy i obaj przedwcześnie zginęli podobną śmiercią tragiczną z ręki skrytobójczej. Należeli oni, jak wiadomo, do pierwszych organizatorów stronnictwa wolności ludu — kadetów. Jołłos popularyzował swoje wiadomości z nauk prawnych w „Juridiczeskim Wiestniku“, będąc sekretarzem „Stowarzyszenia prawniczego“. Cennemi artykułami i listami z Berlina zasilał „Russką Myśl“ i „Ruskija Wiedomosti“, których następnie, po powrocie do Moskwy, został głównym redaktorem. Od chwili zbrodni w Teriokach na osobie jego przyjaciela, dostawał Jołłos niemal codziennie wyroki śmierci, aż wreszcie czarne sotnie spełniły swe ohydne pogróżki.



Fot. A. Drankow z Petersburga.
Pogrzeb zamordowanego redaktora: Fragment manifestacyjnego pochodu na pogrzebie zabitego w Moskwie posła kadeckiego Grzegorza Jołłosa.

Pogrzeb zamordowanego w Moskwie bojownika ruchu wolnościowego, dowiódł, iż ruch ten wzrósł tak potężnie w całem państwie, że mowy być nie może o powstrzymaniu go nawet za pomocą terrorystycznych aktów czarnych secin huligańskich. W pogrzebie tym manifestacyjnym, (z którego zdjęcie fotograficzne zamieszczamy w niniejszym numerze) wzięli udział przedstawiciele ruchu wolnościowego z całego państwa, czego wymownym dowodem było 30 mów wygłoszonych, a drugie tyle zgłoszonych jeszcze u komitetu. Trzeba bowiem wiedzieć, że policya moskiewska chcąc powstrzymać mowców w czasie pogrzebu, zamknęła cmentarz, tak, że tylko część biorących udział znalazła



Wykrycie morderców: Jan Pasik, zabójca ś. p. Stan. Bagniewskiego i Maryanny Kroczkównej w Warszawie.



Fot. A. Drankow, Petersburg.
Z Dumy: Włościańscy posłowie polscy; od lewej ku prawej, siedzą: Bielawski, Błyskosz, Ostrowski, Żak. Justyna; stoją Dziurzyński, Głowacki, Pilejko.

się nad grobem; wśród osób pozostałych poza murami cmentarza, było 34 osób, które prócz tamtych 30, miały też wygłosić żałobne przemówienia. Rodzina zmarłego, bojąc się, by dzień pogrzebu Jołłosa nie posłużył czarnym secinom do urządzenia pogromu, rozrzuciła w przeddzień 30 tysięcy odezw, wzywających ludność do spokoju. Młodzież uniwersytecka zorganizowała straż obywatelską na czas uroczystości żałobnych. Za trumną, obwieszoną stu wieńcami z różnych miast, oprócz rodziny, złożonej z żony i czworga dzieci, szły delegacye od uniwersytetów. Dumy, kadetów, z ks. Urusowem. Kowalewskim i Lednickim na czele, od redakcyj i różnych stowarzyszeń. Mowy nad mogiłą trwały pięć godzin, a były między niemi wygłoszone przez najlepsze siły oratorskie pierwszej Dumy, jak między innymi prof. Szczepkina i mec. Lednickiego.



Zabójcy Jana Gadomskiego przed sądem: 1. St. Chański. 2. W. Bajer. 3. A. Mularski. 4. Piotr Kudriawcew. 5. Wojciech Kudriawcew (od którego strzałów zginął śp. Gadomski.)
(Do artykułu na stronie 10).

Z Dumy.

Przełomowa chwila, w jakiej znalazła się teraz Rosya, napełnia ciężką troską wszystkich przyjaciół wolności i postępu, ku którym ludzkość pomimo wszystkiego nie przestaje dążyć. Nie ulega wprawdzie wątpliwości, że w ten lub ów sposób kiedyś będą usunięte groźne obecnie przeszkody, na które natrafia ewolucya idei postępowych w państwie rosyjskiem — jednakże czas obecny, czas ciągłej w powietrzu wiszącej grozy działa przygnębiająco nietylko na Rosyę i jej poddanych, ale także na całą Europę. Na Europę dlatego, że tak dalece zaangażowała się, popierając od całego szeregu lat Rosyę nieustannie pożyczkami, dochodzącemi do miliardów franków, a na poddanych rosyjskich — ponieważ napróżno oczekują „wiosny“ polityczno-społecznej w swym olbrzymim kraju.

Jeżeli już czysto „russkim“ ludziom przykrzy się ten stan rzeczy, cóż dopiero mówić o „inorodcach“, którzy, jak np. Polacy, niby „piłat w Credo“ znaleźli się w tem błędnem kole anarchistyczno-biurokracyjnem, skąd narazie trudno znaleść drogę wyjścia.

Jedyna nadzieja optymistów spoczywa w obradującej „jeszcze“ drugiej Dumie, nad którą wisi nie jeden, lecz kilka mieczów Damoklesa. Sfery decydujące, nie miałyby nic przeciw temu, gdyby obecnie Duma spędzała, na wzór poprzedniczki, cały swój okres prawodawczy na wygłaszaniu płomiennych mów, które nikogo nie porywały oprócz mówców i ich najbliższych przyjaciół. Tymczasem jednak, pomimo takich życzeń i pomimo szalonej agitacyi ze strony stronnictw reakcyjnych za rozwiązaniem Dumy, nie okazuje ona ochoty do wydania na siebie wyroku śmierci. Zaczyna seryo pracować, czego dowodem zajęcie się budżetem, a rzeczowe przemówienia posłów: Steckiego, Dmowskiego i Żukowskiego dowiodły, iż w jej łonie znajdują się ludzie, którzy umieją coś więcej wygłaszać ponad puste frazesy.

Miejmy nadzieję, że Duma, szczególniej z pomocą tak politycznie dojrzałych ludzi, jak posłowie polscy, wybrnie szczęśliwie z nastawianych na nią zasadzek.

* * *

W dalszym ciągu podobizn wybitniejszych członków Dumy, podajemy dwie grupy: pierwsza z nich przedstawia naszych sympatycznych posłów włościańskich. druga — posłów Besarabii. Obecność w tej drugiej grupie Puryszkiewicza i Kruszewana. charakteryzuje dostatecznie jej tendencye.



Fot. A. Drankow, Petersburg.

Z Dumy: Posłowie z Besarabii. 1. Puryszkiewicz. 2 Krupinskij 3. Sinadino. 4. Herstenberger. 5. Światopełk-Mirskij. 6. Tretjaczenko. 7. Demjanowicz. 8. Melenczuk 9. Kruszewan.

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

19

Ciąg dalszy

— Ja — odezwał się głuchym głosem Morzyński — i pożałujecie.

— Co? mnie grozicie? — zawołał Jonasz, lecz Figura wziął go za rękę i rzekł z naciskiem:

— Chcę z wami kilka słów zamienić — i odprowadził go w dalszy kąt pokoju, mówiąc półgłosem:

— Wiecie towarzyszu, że jestem esdek, ale nie godzę się na wasz sposób traktowania spraw narodowościowych.

— To moja rzecz — odparł dumnie — bund ma prawo przemawiać, to partya lepsza od tych szowinistów P. P. S.

— Nie idzie o bund, ale o wszystkich żydów. Wspomnijcie na tyle pogromów w Kiszyniewie, Kijowie, Odessie... Jeśli rząd zechce tu pogrom urządzić, a wy narazicie sobie ludność tutejszą, może być bardzo źle.

— Ja to rozumiem, wy dobrze radzicie towarzyszu, ja kocham mój naród i dlatego ja nawet przed towarzyszami zamknę w sobie moją pogardę. Czy myślicie, że ja nie potrafię udać ich przyjaciela? — uśmiechnął się chytrze.

Figura, w normalnych warunkach, byłby wyraził swe oburzenie na tę nienawiść namiętną i na hypokryzyę Jonasza, ale wobec celów rewolucyjnych zdusił w sobie niechęć i niesmak. Odwrócił twarz i rzekł:

— Nie wątpię — i obaj przystąpili do towarzyszy, żywo rozprawiających o wypadkach moskiewskich.

Ostatecznie przyjęto plan Figury, a Porwa ze swymi partyjnymi towarzyszami przeszedł do drugiego pokoju na naradę.

Jonasz wyszedł, obiecując, że we czwartek cały bund stanie jak jeden mąż do zamanifestowania swej siły i łączności z Moskwą.

Logika, Figura i Kola naradzali się nad szczegółami, i okazało się, że dziś jeszcze trzeba dać znać tym i owym towarzyszom, aby od jutra rana zawrzała agitacya. Logika i Figura wyszli, pozostał Kola, który miał się porozumieć z Wichrem, będącym w drugim pokoju.

Do Wandy, która była niemym świadkiem narady, rzekł Kola:

— Jakże wam się podoba praca tutaj?

— Niestety, wcale nie pracuję — westchnęła — załatwiam przesyłki, idę pod wskazane adresy... Jutro miałam być na wiecu, ale już mnie brat uprzedził, że wobec nawału innych spraw on nie pójdzie.

— A wy sama towarzyszko nie możecie?

— Nigdy nie byłam, musi mnie ktoś zaprowadzić, objaśnić... jaka szkoda, że wy należycie do innej partyi, z wami mogłabym pójść.

Jemu zabłysły oczy z radości na myśl, że on mógłby być jej przewodnikiem, nauczycielem, że byłby z nią dłużej i częściej.

— Wiecie towarzyszko, chodźcie ze mną jutro, będziemy agitowali za strajkiem.

— Nie, nie mogę — odpowiedziała po namyśle.

— Dlaczego? W gruncie rzeczy i wy, i ja jesteśmy socyalistami, różnią nas tylko sposoby walki.

— Macie słuszność, ale gdyby mnie spytano kto jestem, chociażby pierwszy lepszy robotnik, odpowiem mu zawsze, że jestem Polką, a z przekonań polityczno-społecznych socyalistką.

— Sądziłem, że odpowiecie odwrotnie — uśmiechnął się.

— Nigdy nie kłamię. I wy sami, gdybyście wglądnęli w głąb duszy waszej, nie moglibyście, będąc szczerym, odpowiedzieć inaczej. Pierwsze słowo, które usłyszałam było polskie, moje myśli, uczucia, rozum rosły i dojrzewały w polskim języku, i wpierw, zanim zrozumiałam co to jest człowiek, już byłam Polką.

— A wiecie towarzyszko, zanim byliście Polką, już byliście, przed poznaniem narodowości, katoliczką, czy to wyznanie wiary was zobowiązuje na całe życie?

— Albo żartujecie, albo macie mnie za pospolitą gąskę — zaśmiała się — przecież wyznanie zostało mi samowolnie narzucone przez urządzenie państwowe, a Polką jestem przez dziedziczność, urodzenie, wychowanie.

— W takim razie nikt prócz Polaków nie może należeć do waszej partyi?

— Wy mnie chyba nie chcecie rozumieć — spojrzała zdziwiona. — Słuchajcie, gdy wybuchła wojna z Japonią, marzyłam o zaciągnięciu się do ich szeregów, aby zwalczać nienawistny rząd i despotyzm, czy sądzicie, że dlatego muszę zostać Japonką? Byłabym poszła jako Polka i jako Polka walczyła w japońskich szeregach.

— No, tak, lecz będąc w mojej partyi, walczę za naszą i waszą wolność — posłyszał ruch w przyległym pokoju, wstał i podając jej rękę — będziemy jeszcze dyskutowali, może wy mnie, albo ja was nawrócę.

— Nawrócić? to wątpię, ale możecie przekonać.

— Jutro rano wpadnę do Logiki, przypomnijcie jej, niech zaczeka.

Otworzyły się drzwi, wszedł Porwa, Bal, Wicher i towarzysze. Krótki czas trwała rozmowa i rozeszli się.

Nazajutrz około dziewiątej rano zadzwonił do mieszkania Logiki dozorca policyjny dzielnicy, rewirowy, i spytał Stasię, czy jest w mieszkaniu panna Wanda Balkowska, do której ma urzędowy interes.

Stasia poszła zawiadomić Wandę, a Logika obecna przy tem, wiedząc z doświadczenia, że z rewirowym potrzeba być na dobrej stopie, gdyż to zapewnia spokój ze strony policyi w licznych wypadkach, przygotowała rubla za fatygę i poszła z Wandą do oczekującego rewirowego.

Ten stał w mundurowej czapce z uśmiechem złośliwego zadowolenia, lecz gdy spojrzał na te dwie kobiety, tak niewinne i skromnie ubrane, poczuł jeśli nie szacunek, to obowiązek grzeczności, zdjął czapkę i spytał:

— Która z pań nazywa się Wanda Balkowska?

— Ja jestem — powiedziała Wanda z oczyma zaciekawionemi.

Wygląd Wandy i sposób jej zachowania, nasunął mu pewne wątpliwości co do jego misyi, i spytał powtórnie:

— Ale czy pani jest córką Zygmunta Balkowskiego?

— Tak jest. O cóż idzie?

— Nu, sam nie wiem dlaczego, ale rozkaz jest rozkazem. Proszę panią o dawny pasport.

— Zaraz przyniosę — wyszła.

— Proszę pana — odezwała się Logika — w jakim celu zabiera pan pasport?

— Ta pani dostanie inny — uśmiechnął się.

— Ale dlaczego ta zmiana.

— Jak sobie kto pościele, tak się i wyśpi... ot co. trzeba było być ostrożną, pilnować się.

Weszła Wanda, oddała swój pasport, który rewirowy schował do torby a podał jej nowy, w ciemnej okładce. Wanda zaciekawiona zajrzała do pasportu, a Logika wsuwając rubla do ręki rewirowego, spytała:

— Nie mógłby pan mnie objaśnić, z jakiego powodu ta zmiana pasportu?

Rewirowy spokojnie schował rubla i rzekł z dobrotliwym uśmiechem:

— Nu, ta pani — wskazał na Wandę — dostała książeczkę... a pani bądź uważna, bo „wsio możno, ino ostorożno" — skłonił się, i do Wandy — a jutro proszę przyjść do cyrkułu — pożegnał ich ukłonem i wyszedł.

Wanda i Logika zastanawiały się, co może oznaczać ta zmiana, i wezwały przechodzącą Stasię na naradę.

I ona również obejrzała tę książeczkę, a nie umiejąc po rosyjsku, powiedziała po namyśle:

— To wygląda na służbową książeczkę, ale skąd panna Wanda przychodzi do niej?

Logika dojrzawszy na dalszych stronicach napis: „świdietelstwo wracza", przeczuła instynktownie, że ta zmiana wróży coś złego, ale milczała, nie chcąc, może niepotrzebnie, martwić Wandy.

Zadzwoniono i wszedł Kola, wesoły, rozpromieniony i z progu:

— Nad czem radzą towarzyszki? — spytał z uśmiechem.

Logika powodowana bezwiedną ostrożnością, szepnęła do Wandy:

— Schowaj! — a głośno — nad domowemi sprawami.

Wanda nie zrozumiała wezwania Logiki, rozejrzała się w około, co właściwie ma schować, a nie widząc nic podejrzanego, wzruszyła ramionami i do Koli:

— Przed chwilą był tu rewirowy, zabrał mój pasport, a dał mi tę książeczkę — podała mu do ręki.

Spojrzał, zaczerwienił się, pobladł i syknął gniewnie:

— On śmiał... To chyba pomyłka.

— Cóż znaczy ta książeczka — dopytywała się Wanda.

— Głupstwo... pójdę do cyrkułu — schował książkę, i do Logiki — nie czekajcie na mnie, znajdę was; a wy towarzyszko Wando nie wychodźcie z domu póki nie wrócę, proszę was bardzo o to.

— Ale co znaczy to wszystko? — dopytywała się Wanda — nie puszczę was póki mi nie powiecie.

Kola dał znak Logice, że nie może powiedzieć; zrozumiała i do Wandy:

— Pozwól towarzyszowi iść, on sam nie rozumie i wyjaśnią mu w cyrkule.

— Istotnie towarzyszko, nie rozumiem co zaszło. Idę i wracam, zaczekajcie na mnie.

Drżący z gniewu i oburzenia pojechał do cyrkułu, gdzie dowiedział się, że ta ohydna książeczka, stanowiąca rodzaj pasportu a zarazem książki zarobkowej dla nierządnic w celu rozciągnięcia kontroli nad niemi, została wręczona Wandzie z rozkazu oberpolicmajstra.

Udał się wprost do biura naczelnika i dzięki swemu nazwisku został wkrótce przyjęty.

— Proszę, zechciej pan usiąść — mówił bardzo uprzejmie — wszak mam przyjemność mówić ze synem wojennego generał-gubernatora Czerniejewa.

— Tak jest. Przyjechałem z prośbą o wyjaśnienie, zanim udam się ze skargą do ojca.

— Ależ bardzo chętnie... może papierosa... któż zawinił?

— Policya... i dlatego uważałem za stosowne uprzedzić pana oberpolicmajstra.

— Wdzięczny jestem... zaraz poznaje się syna generała. Inny byłby mnie pominął. Wierz mi pan, że winny zostanie surowo i przykładnie ukarany.

— Otóż w dniu dzisiejszym rewirowy cyrkułu Jerozolimskiego wręczył jednej z pań czarną książeczkę, jakkolwiek wiedział, że jest to panna, szlachcianka i świeżo przyjechała ze wsi...

— Ależ to oburzające! — zawołał z gniewem — nauczę ja ich porządku. Więc to w cyrkule Jerozolimskim, zaraz każę telefonować — wstał z fotelu.

— Niech się pan nie trudzi, byłem tam i powiedziano mi, że stało się to z wyraźnego rozkazu pana.

— Z mego? — zdziwił się, a po chwili namysłu — jak nazwisko tej panny?

— Wanda Zygmuntowiczówna Balkowska.

— Balkowska? — odrzucił niedopalonego papierosa, potarł białą ręką czoło — to nazwisko mi znane... tak... tak, teraz przypomiuam sobie. Istotnie ja wydałem rozkaz, ale to na podstawie doniesienia i skargi jednego z wysokich i poważanych urzędników.

— Czy mógłbym wiedzieć jego nazwisko?

— To do sprawy nie należy — uśmiechnął się — jeśli, jak pan twierdzi, zaszła omyłka co do osoby, każę odebrać książeczkę a pasport zwrócić. Muszę jednak mieć wpierw jakiś dowód, że pana nie w błąd nie wprowadzono. Pan przecież rozumie, że skargi tak wysokiego urzędnika nie mogę zostawić bez następstw.

— Książeczka jest u mnie w kieszeni a ponieważ nazwiska skarżącego nie mogę się dowiedzieć, a samo oddanie pasportu nie wystarcza mi, nie pozostaje mi nic innego jak udać się do ojca, i bardzo przepraszam, że zająłem czas — wstał z krzesła.

Urzędnik przytrzymał go za rękę i z uśmiechem dodał:

— Niechże pan siada, proszę bardzo, pomówmy spokojnie... ej, czy ta kobieta nie wpadła panu w oko — zaśmiał się.

Kola poczerwieniał z gniewu i rzekł szorstko:

— Nie przyszedłem tu dla żartów, a panna Balkowska jest naszą znajomą, siostrą mego przyjaciela, i w tych dniach na prośby mej matki raczy zapewne przyjść do nas.

Naczelnik zrobił poważną i strapioną minę i mówił tonem uniewinniającym się:

— I ktoby się tego spodziewał... Komuż wierzyć? Postaw się pan na mojem miejscu, przychodzi człowiek znany, honorowy, prawdziwa perła wśród naszych urzędników i zanosi skargę, daje słowo, że wszystko co mówi jest prawdą, czyż pan na mojem miejscu nie uwierzyłby mu? No, powiedz pan.

— Możebym i wierzył, to zależy od człowieka, ale zanim zniszczyłbym cześć i sławę kobiety, zasięgnąłbym wiadomości, musiałbym mieć dowody

w ręku, bo przecież gołosłowna skarga nie jest żadnym dowodem. Teraz widzę, że pan został w błąd wprowadzony, ale to nie umniejsza w niczem wyrządzonej krzywdy.

— Więc czegoż pan chce? — zachmurzył się — przecież nie pójdę przepraszać.

— Prawdopodobnie nie byłby pan przyjęty... i na tem mi nic nie zależy, czy ją kto przeprosi. Idzie mi o to, aby oszczerca został ukarany i dlatego proszę o nazwisko.

— Nie, nie mogę wymienić...

— W takim razie pozwoli pan, że odejdę — spojrzał na zegarek — właśnie ojciec jest w swem biurze.

— Zaraz... zaczekaj pan... Ostatecznie, jeśli mi pan przyrzeknie, że pan tylko dla siebie zachowa nazwisko i sprawy nie rozgłosi... powiem.

— Mogę upewnić pana — rzekł Kola po namyśle — że sprawa nie pójdzie do sądu i sam potrafię go ukarać.

Naczelnik znów się zawahał, ale osądził, że gdyby Kola poszedł do ojca, musiałby powiedzieć na swoje usprawiedliwienie nazwisko skarżącego, lepiej tedy zatuszować sprawę na miejscu.

— Jeszcze jedno — mówił zwolna i z naciskiem — ojcu nie powie pan ani słowa o całej tej awanturze. Na to żądam słowa honoru.

— Daję — podał rękę—więc kto?

— Paweł Pawłowicz Gołubiew.

— On!? — zdziwił się szczerze, znał go bowiem, jako człowieka czystych rąk, jakkolwiek wroga Polaków i nieprzebierającego w środkach rusyfikatora.

— Otóż widzi pan, jeśli taki człowiek przychodzi i oskarża, czy mogę mu nie wierzyć?... Jednak wobec tego, co pan mi mówi o tej pani, wnoszę, że tam jest jakaś sprawa osobista.

— Już ja ją wykryję — rzekł Kola wstając z krzesła — a panu dziękuję za udzielone wyjaśnienie.

— I mnie cieszy, że rozmówiliśmy się po przyjacielsku — podał rękę.

— Prosiłbym też, aby cyrkuł przestał się opiekować tą panią i zwrócił mi pasport zabrany.

— Zaraz wydam rozporządzenie telefoniczne, zanim pan przyjedzie na miejsce, sprawa będzie załatwiona.

Po jego wyjściu naczelnik rozporządził wydanie pasportu Wandy, skoro się zgłosi po niego młody Czerniejew. Istotnie z uprzedzającą grzecznością wydano pasport i Kola zaniósł go Wandzie, a na nalegające jej pytania odpowiedział, że zaszła pomyłka w adresie.

Popołudniu tegoż dnia Gołubiew w swem mieszkaniu siedział rozparty we fotelu, palił papierosa, popijając herbatę. Na biurku leżały nadesłane akta z kancelaryi, na które z westchnieniem spojrzał i w dalszym ciągu rozmyślał nad sprawą ze sąsiadkami.

Tam padł grom dziś rano, przeraziły i przestraszyły się obie. Dobrze tej Balkowskiej, na drugi raz będzie grzeczniejszą, ale jak tu zawiązać stosunek z Ogniewską? A gdyby ją tak przerazić, że skoro nie będzie powolną i ją spotka taka kara, to byłby niezły sposób, ale musiałby odsłonić, że to on, a nie inny wystarał się o książeczkę. To mogłoby się rozgłosić, te podłe pisma rewolucyjne podniosłyby wrzawę, nie, to stanowczo zła droga. Rozmyślał i nagle klasnął w dłonie, znalazł sposób. Ogniewska musi być zmartwiona przygodą Wandy, więc przy spotkaniu na ulicy, on wystąpi jako obrońca tej sprawy, obieca cofnięcie książeczki, to zmusi ją do wdzięczności, a dalej już sobie poradzi. Zadowolony z powzięcia tego planu, wziął się do pracy biurowej, aby mieć swobodę działania.

Kolejno przeglądał akta, raporty i odkładał niedbale, nagle spoważniał i jeszcze raz uważnie odczytał tajny raport, w którym tajna policya donosi, że jutro ma się odbyć manifestacya robotnicza na cześć Moskwy.

Resztę papierów przejrzał pospiesznie, oddał akta woźnemu, zatrzymując raport dla siebie i niezwlekając ubrał się, wyszedł i dorożce dał adres prywatnego mieszkania generała Czerniejewa.

Przyjechał w chwili, gdy generał wraz z żoną pili kawę czarną, a gdy służący zameldował jego przybycie, generał kazał go zaprosić i ugościł filiżanką kawy.

— Zapewno coś ważnego sprowadza was do mnie; Pawle Pawłowiczu.

— Istotnie bez ważnego powodu nie ośmieliłbym się trudzić waszej ekscelencyi.

— Czy to rzecz sekretna?

— Wcale nie, zapewne pół Warszawy wie już o tem w tej chwili.

— Mogę zatem i ja posłuchać — uśmiechnęła się generałowa.

— O cóż idzie, Pawle Pawłowiczu?

— Na jutro przygotowują partye wywrotowe manifestacyę na znak swej łączności z rozruchami w Moskwie.

— Tak?... Czy rozlepiono ogłoszenie o zabronieniu wszelkich zgromadzeń?

— Rozlepiono wszędzie, wasza ekscelencyo.

— Więc przypuszczam, że odechce się im manifestacyi bezcelowych — uśmiechnął się leciutko



— Ot, co, trzeba było być ostrożną, pilnować się...

zresztą rozkazy są wydane na wypadek zbiegowisk.

— Wasza ekscelencya pozwoli zwrócić swoją uwagę, że i w Moskwie zaczęło się od manifestacyi małej grupy zecerów, a doszło do barykad.

— Więc co pan myśli? — spojrzał chłodnemi oczyma.

— W samym zarodku należy zgnieść bunt.

— Już poleciłem, i patrole zrobią swoje — powiedział generał obojętnie.

— Zgniecenie, zdaje mi się, powinno być stanowcze i silne. Jeśli na wezwanie nie rozejdą się manifestanci, wojsko strzela salwą, taka postawa nasza oduczy ich manifestowania.

— Hm... sposób za radykalny, wystarczą kozacy i dragoni.

— Zapomniałem dodać, że buntownicy mają zamiar ze wszystkich stron jednocześnie wkroczyć do środka miasta, a gdy dotrą, będzie trudno strzelać, bo może zginąć ktoś z naszych, a tam w ich legowisku, w dzielnicy robotniczej łatwiej rozprawić się z nimi. Wojsko stanie w bocznych ulicach, w podwórzach, a gdy nadciągną manifestanci można ich otoczyć i aresztować.

— Tak, to dobry pomysł, przygotuj pan rozkaz dla generała Tiszewa.

— Czy mam dodać, aby wojsko swe ruchy zamaskowało i aby małemi partyami wysyłano na miejsca oznaczone.

— Naturalnie.

— A gdyby opór stawili, gdyby nie chcieli się rozejść, bo i to możliwe, wojsko będzie strzelało.

— Dobrze. Napisz pan rozkaz w moim gabinecie, ja podpiszę.

Gdy Gołubiew wyszedł, przemówił generał łagodnie do żony:

— Słyszałaś kochana, jutro będzie strzelanina w mieście, proszę cię, nie wychodź z domu.

— A ty? — spytała zaniepokojona.

— Będę w biurze do chwili zakończenia tych awantur i kiedy zechcesz, możesz telefonować... Powiedz Koli, że wolałbym, aby się nie narażał, może ciebie usłucha — westchnął i spochmurniał.

— Postaram się zatrzymać go w domu... czy zauważyłeś, że on znacznie się zmienił w ostatnich czasach, jest serdeczniejszy, szczerszy, i on jest bardzo dobry i współczujący.

— Nie przeczę, że on ma pewne zalety, ale te jego radykalne przekonania, to lekceważenie własnej przyszłości i ludzi naszej sfery...

— Ależ pozwól mój drogi, aby i on, jak inni miał błędy swego wieku, dojrzeje i będzie inny.

— Marna to pociecha — skinął ręką niedbale i kończył kawę.

— Czyż wolałbyś — mówiła ciszej — aby był taki jak ten? — wskazała oczyma na drzwi gabinetu.

— Cóż chcesz od niego? — wzruszył ramionami — uczciwy, pracowity, przekonania skrystalizowane...

— I krwiożerczy — dodała z ironią — podnieca cię do surowości bezwzględnej, do nienawiści i tylko dzięki twej prawości niema szubienic na każdej ulicy. Dopiero używałby on przy Murawiewie — kończyła z uśmiechem pogardy.

— Trudno moja kochana, żyjemy w takich czasach, że surowość jest koniecznością. Co do niego, to prawda, że nienawidzi Polaków, ależ bo to naród chytry, podstępny, przebiegły, już zdaje się, że ugłaskałeś, że pogodzili się z losem, a za chwilę masz bunt.

— Nie będę się z tobą sprzeczała co do Polaków, ale nie potępiaj narodu całego, są między nimi i dobrzy, i szczerzy, jak np. Koli przyjaciel, Balkowski.

Z dalszych pokojów słychać było zbliżające się kroki i po chwili wszedł Gołubiew z papierem w ręku, który podał generałowi.

Ten przeczytał uważnie i rzekł do sekretarza:

— Zapomniałeś pan dodać, że wojsko ma strzelać po trzykrotnem wezwaniu do rozejścia się.

— To tylko z pośpiechu — skłonił się i wyszedł, aby poprawić.

— A co? czy nie mówiłam!? — spojrzała tryumfująco na męża.

— To z gorliwości — mruknął i po chwili poszedł do gabinetu.

Gdy późną już nocą wrócił Kola do domu, zastał ku swemu zdziwieniu matkę siedzącą w jego pokoju.

— Czy stało się co ważnego, mamo? — spytał po przywitaniu.

— Umyślnie czekałam... mam prośbę do ciebie i mam nadzieję, że nie odmówisz — powiedziała słodkim głosem.

— Ależ mamo, czyż warto było czuwać do pierwszej godziny, aby mi powiedzieć, czego mama sobie życzy... o cóż idzie?

— Proszę cię bardzo, nie wychodź jutro z domu... zależy mi na tem Kola.

— Zaraz pomówimy mamo... chciałbym wpierw wiedzieć przyczynę.

— Dziś popołudniu przyszedł Gołubiew do ojca z doniesieniem, że jutro rewolucyoniści będą manifestowali.

— Czyż to pierwszy raz? — uśmiechnął się.

— Wiem, że nie pierwszy raz, ale on niemal wymógł na ojcu, aby wojsko strzelało na ulicach do manifestantów... Może kula się zabłąkać... może kozacy i dragoni nie rozróżnią kto swój, a kto rewolucyonista... może w tłoku cię zduszą. Będę umierała z obawy o ciebie, więc zostań, mój drogi, mój miły — ucałowała jego jasne czoło.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Echa zjazdu w Rapallo.

Ojciec komedyi francuskiej, Molière, powiedział, że „niema wielkiego człowieka dla jego kucharki“. Dowcipne to określenie możnaby zastosować także do rozmaitych „wielkich“ ludzi czasów obecnych, którzy, wobec najczystszą prawdę mówiącego aparatu fotograficznego, przedstawiają się światu nie w aureoli, stworzonej im przez usłużne organa prasy, lecz takimi, jakimi są w rzeczywistości, to jest zwykłymi śmiertelnikami.

Ktoś, co czytał po dziennikach sążniste sprawozdania, zaprawione odpowiednim sosem, o zjeździe w Rapallo kierowników polityki Niemiec i Włoch, był oczywiście przekonany, że wie wszystko, o czem w cztery oczy mówili: ks. Bülow i minister spraw zagranicznych, Tittoni.

My nie sięgamy tak daleko. W poprzednim numerze „Now. Illustr.“, wyraziliśmy tylko przypuszczenie co do tematów, jakie ci dwaj mężowie stanu chwili bieżącej poruszyć mogli, zważywszy ogólne konjunktury polityczne. Dzisiaj zaś podajemy dwa zdjęcia, przedstawiające: jedno, księcia Bülowa, kanclerza Rzeszy niemieckiej, wraz z włoskim ministrem spraw zagranicznych, Tittonim, drugie, gdy ks. Bülow wita się ze swym kolegą na terytoryum włoskiem, podczas, gdy jego żona wysiada z powozu.

„A propos“ tego spotkania nasuwa się mimowolna uwaga: ojciec obecnego kanclerza Rzeszy niemieckiej, hr. Bernard Ernest Bülow długie lata spędził w służbie Danii, w służbie szwedzkiej rozpoczął swą karyerę feldmarszałek Blücher, a słynny feldmarszałek Moltke otrzymał szlify oficerskie w Danii, ukończywszy szkołę kadecką w Kopenhadze. Wymienieni, nie mówiąc już o wielu innych, byli najtęższemi podporami prusaczyzny i ładnie odwdzięczyli się swoim pierwotnym ojczyznom, stawszy się renegatami.

Kto wie, czy i Włochy nie będą kiedyś zmuszone gorzko żałować swej usłużności dla Niemiec, reprezentowanych przez Prusy, na wypadek gdy rachują na jakąkolwiek wdzięczność z ich strony. Jeżeli wogóle „wdzięczność“ w polityce nie ma wartości nawet monety zdawkowej, to cóż dopiero mówić o niej, gdy jednym z partnerów gry dyplomatycznej są junkrzy pruscy, potomkowie zachłannych Krzyżaków.



Echa zjazdu w Rapallo: Ks. Bülow wita się z ministrem Tittonim.



Echa zjazdu w Rapallo: Ks. Bülow (z prawej strony od widza) i minister Tittoni.

„Sufrażystki“.

W dzisiejszych czasach, gdy wszyscy powołani i niepowołani chcą świat reformować i nim rządzić, nie mogło oczywiście braknąć pięknej i — jak się utarło określać — „lepszej“ połowy rodzaju ludzkiego w pierwszych szeregach tych, co mają uszczęśliwić ludzkość swoimi teoryami w czyn wprowadzonemi.

Ruch feministyczno-emancypacyjny na kontynencie zbyt dobrze znany jest wszystkim, aby przypominać jego rozmaite fazy. Natomiast ruch ten na klasycznym gruncie wolności „starej Anglii“ był dotąd czemś dla reszty Europy niewiele znanem. Dochodziły nas wprawdzie z drugiej strony cieśniny głuche wieści o tem, jak zamierzają sobie nadobne Angielki (przeważnie stare panny) wywalczyć równouprawnienie z mężczyznami, nie przypuszczano jednak nigdy, aby chwyciły się takich drastycznych środków walki, o jakich z humorem rozpisywały się dzienniki londyńskie.

Ni mniej, ni więcej, „sufrażystki“ t. j. damy domagające się prawa wyborczego do parlamentu, pozwoliły sobie na czynienie tak burzliwych demonstracyj przed jego gmachem i tak gwałtownie pragnęły się dostać do jego wnętrza, że konstable londyńscy zmuszeni byli użyć siły, aby je od tego niesłychanego kroku w dziejach angielskich powstrzymać.

Taki gwałtowny napad na parlament udał się wprawdzie onego czasu Cromwellowi i uszedł mu bezkarnie, inny jednak los spotkał dzielne amazonki angielskie. Wiele z nich aresztowano i skazano na grzywny lub kary więzienia. Jak oczywiście przystało na „męczenniczki“ idei, „sufrażystki“ wybrały tą drugą karę, nawiasem mówiąc niezbyt ciężką, bo zasadzającą się na pozbawieniu każdej z nich swobody osobistej w ciągu 48 godzin.

Zdjęcie, illustrujące niniejszy artykulik, wybornie charakteryzuje gorący temperament angielskich



»Sufrażystki«: Aresztowanie jednej z demonstrantek przed gmachem parlamentu w Londynie.

„sufrażystek“, oraz zimną krew konstablów londyńskich, którzy wśród nich byli zmuszeni dokonywać aresztowań. Patrząc na nie, mimowoli przychodzi na myśl tytuł szekspirowskiego „Poskromienia złośnicy“, oraz przypuszczenie, że na tej drodze nieprędko wywalczą sobie kobiety angielskie równouprawnienie polityczne.

Głód w Rosyi.

Do innych nieszczęść prześladujących ostatnimi czasy Rosyę, przyłączył się straszny nieprzyjaciel — głód — z którym walka jest nadzwyczaj trudna. Nie po raz pierwszy nawiedza on Rosyę, gdyż od ćwierć wieku powtarza się peryodycznie i to w najżyźniejszych, czarno-ziemnych jej okolicach.



Cesarz w Pradze: I-szy wiceburmistrz dr. Antoni Stych.

Na ten smutny objaw składają się, oprócz klęsk elementarnych, jak np. długotrwała susza, także inne przyczyny. Między niemi pierwsze miejsce zajmuje brak zamiłowania do rolnictwa, charakteryzujący ludność rdzennie rosyjską, oraz brak własności indywidualnej pomiędzy włościanami, którzy posiadają tylko własność zbiorową, gminną. Skutkiem tej ostatniej przyczyny chłop rosyjski nie przywiązuje się do roli, przedkładając nad nią handel, lub też zarobki po miastach i fabrykach, gospodaruje licho, a gdy przyjdą lata nieurodzaju, nie może sobie dopomódz remanentem z lat urodzajnych.

W dodatku akcya przeciwgłodowa, podjęta przez rząd w roku bieżącym, zeszła na zupełnie fałszy-



Cesarz w Pradze: Burmistrz Pragi dr. Karol Grosz.

we tory, gdy dostawę zboża dla okolic, dotkniętych klęską, otrzymała osławiona spółka Hurko-Lidwal, robiąca na niej bajeczne interesy. Zboże, dostarczone przez tę spółkę, jak twierdzą dzienniki rosyjskie, jest przeważnie stęchłe i zanieczyszczone kąkolem, piaskiem, drobnymi kamyczkami, słowem, nie do użycia. Rząd jednak płaci za nie owej oszukańczej spółce tak, jak za najlepszy gatunek.

Na załączonej rycinie, rysowanej na miejscu, widzimy mieszkańców jednej z wiosek gubernii kazańskiej, pomiędzy których rozdzielane są, ze strony ziemstwa, chleb i zboże.

Nadmienić wypada, że gubernia kazańska należy do najurodzajniejszych gubernij nadwołżańskich, a więcej niż połowa jej składa się z czarnoziemu.

Wedle jednozgodnych doniesień prasy rosyjskiej, położenie ludności w wymienionej gubernii, jakoteż w symbirskiej, saratowskiej i samarskiej, jest wprost rozpaczliwe. Tyfus głodowy i szkorbut szerzą się coraz silniej, inwentarz wysprzedany, resztki zboża zjedzone, a do nowych zbiorów jeszcze tak daleko....

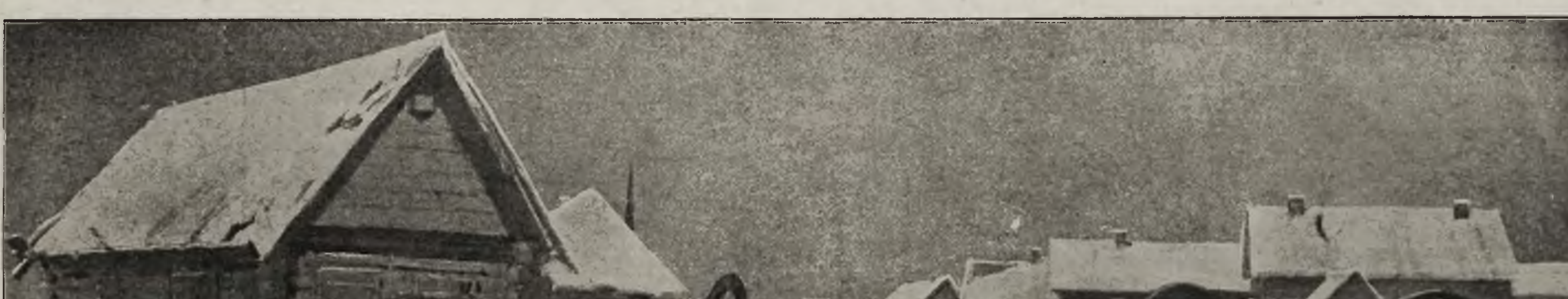
Cesarz w Pradze.

Stolica krajów korony św. Wacława — „złota“ Praga — gościła podczas bieżącego tygodnia w swych



Cesarz w Pradze: II-gi wiceburmistrz Zirusek.

murach, cesarza Franciszka Józefa I-go, dotąd jeszcze nieukoronowanego króla tych krajów. Odwiedziny te są dwunastemi z rzędu, jakiemi cesarz zaszczycił Pragę. Pierwszy raz odwiedził on ją, będąc 16-letnim młodzieńcem 1846 roku, w towarzystwie swego brata, późniejszego nieszczęsnego cesarza Meksyku, Maksymiliana; ostatni raz w r. 1901 w towarzystwie ówczesnego prezydenta



Głód w Rosyi: Rozdawanie zboża i chleba pomiędzy ludność głód cierpiącą w jednej z wiosek gubernii kazańskiej.

ministrów, dra Koerbera, oraz jego kolegów: dra Hartla i Rezeka. Wraz ze swą małżonką, ś. p. cesarzową Elżbietą, cesarz bawił dwukrotnie w stolicy nad Wełtawą, a mianowicie, w roku 1854, podczas miodowych miesięcy swego pożycia z uroczą małżonką i w dwa lata później, z okazyi uroczystości srebrnego wesela ex-cesarza Ferdynanda.



Cesarz w Pradze: Dojazd do królewskiego zamku na Hradczynie.



Cesarz w Pradze: Niemiecka sala w królewskim zamku na Hradczynie.

„Ukochane Królestwo Czech“ cieszy się tedy znacznie większą sympatyą panującego, niż np. Galicya, gdzie tylko trzy razy bawił on „oficyalnie“, a to w 1852, 1880 i 1894 roku, nie licząc częstych przyjazdów do naszego kraju — prawie „incognito“ — z powodu wielkich manewrów. Wzgląd na części Polski, pozostające pod panowaniem Rosyi, odgrywał niezawodnie w tym kierunku rolę decydującą.

Stolica nad Wełtawą przygotowała się uroczyście na przyjęcie monarchy. Droga, jaką przebył on, począwszy od nowego dworca kolejowego im. Franciszka Józefa, prowadzi obok Muzeum krajowego, przez plac Wacława, przez ulicę Ferdynanda, bulwar nadbrzeżny Franciszka, most Karola, Małą Stranę do zamku na Hradczynie. Po obu jej bokach stoją olbrzymie maszty, udekorowane zielenią oraz tarczami herbowemi i połączone między sobą girlandami. Szeroką ulicę Parkową, przed dworcem, zamieniono na rodzaj przedsionka świątyni, pełnego kolumn.

Pierwszą bramę tryumfalną wzniesiono obok Niemieckiego teatru, drugą — przy Muzeum, trzecią największą — na końcu placu Wacława, czwartą — obok Czeskiego teatru, piątą wreszcie — na placu Radetzky'ego, po drugiej stronie Wełtawy. Olbrzymie pylony z ofiarnemi czaszami ustawiono po jednej i drugiej stronie bramy tryumfalnej w bliskości Czeskiego teatru.

Do imponującej dekoracyi ulic i gmachów publicznych dostroiła się reszta miasta, gdzie wszystkie domy, położone przy „via triumphalis“, którą przebył cesarz, ozdobiono z niesłychanym przepychem i dobrym prawdziwie smakiem. Praga, dosłownie tonęła w morzu flag, festonów, dywanów, draperyj itd. Chociaż na wyraźne żądanie monarchy odstąpiono od zamiaru ogólnej iluminacyi — to jednak most Karola i bulwar nadbrzeżny Franciszka iluminowane były 22.000 lampek żarowych — co sprawiało efekt wprost czarujący.

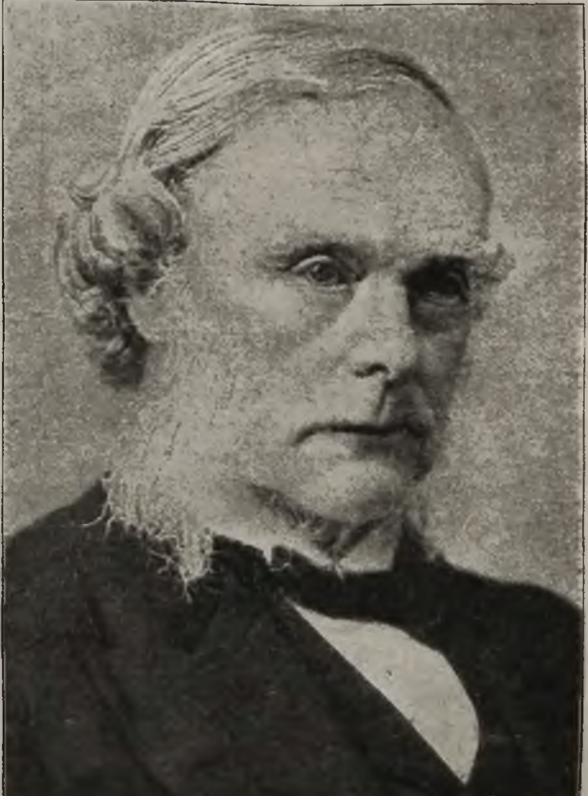
* * *

Na załączonych do niniejszego artykułu rycinach widzimy gospodarzy Pragi: burmistrza i dwóch jego zastępców, dalej dojazd do królewskiego zamku na Hradczynie, olbrzymiej imponującej budowli, gdzie zamieszkał cesarz z orszakiem z 209 osób, oraz widoki dwóch sal tego zamku: tzw. hiszpańskiej i niemieckiej, z których można sobie wyrobić łatwo wyobrażenie o przepychu tej prawdziwie monarszej rezydencyi.

Opustoszałe i ciche zwykle mury hradczyńskiego zamku ożywiły się na chwilę. Roje uniformów wojskowych i dworskich, fraki, sutanny, czamary przesuwały się po jego wspaniałych schodach i krużgankach. Przyboczna gwardya cesarska i malowniczo ubrani grenadyerzy miejscy pełnili straż wewnątrz zamku, który, gdy przebrzmiały odgłosy entuzyastycznego przyjęcia monarchy, znów nadługo pogrążył się w martwej ciszy.



Cesarz w Pradze: Hiszpańska sala w królewskim zamku na Hradczynie.



Jubileusz dobroczyńcy ludzkości: Sir Józef dr. Lister, słynny lekarz angielski.

Jubileusz dobroczyńcy ludzkości.

Nauka medycyny, wspierana zarówno postępami teoryi, jak i doświadczeniem, kroczy niewątpliwie naprzód ku pożytkowi ludzkości, nierównomiernie jednak we wszystkich swych działach. I tak, dział medycyny wewnętrznej przedstawia jeszcze dotąd bardzo obszerne, lecz stosunkowo mało wyzyskane pole, natomiast chirurgia we wszystkich gałęziach poczyniła olbrzymie postępy w ostatnich pięćdziesięciu latach. Świadczą o tem skrzętnie zbierane daty po szpitalach i klinikach, jako też dane z prywatnej praktyki lekarskiej, odnoszące się do wyniku zabiegów operacyjnych.

Lwią część zasług w tym kierunku przypisać należy znakomitemu uczonemu i praktykowi angielskiemu, sir Józefowi Listerowi, wynalazcy antyseptyki. Chociaż od bardzo dawnych czasów zdarzali się chirurdzy, umiejący świetnie wykonywać trudne operacye, to jednak chory przeważnie umierał, pomimo, że sama operacya się udała. Przyczyną tego było ropienie ran, wywołujące gangrenę, która najczęściej kończyła się śmiercią operowanego.

Z chwilą, gdy Lister, opierając się na studyach Pasteura, który dowiódł, że w powietrzu znajdują się drobnoustroje chorobotwórcze, wprowadził przy operacyach antyseptykę, pierwotnie z użyciem tylko rozczynu kwasu karbolowego, sytuacya zmieniła się odrazu, procent zmarłych po operacyi zeszedł do „minimum“. Później wprawdzie wprowadzono do chirurgii aseptykę, niespożytą jednak zasługą Listera pozostanie zastosowanie przeciwgnilnego postępowania podczas operacyj.

W początkach bieżącego miesiąca, świat uczony angielski święcił 80-tą rocznicę urodzin dra Listera, który przyszedł na świat w Londynie. Roku 1852 ukończył on studya tamże, ze stopniem „bachelor of medicine“, a po trzech latach mianowano go dyrektorem kliniki chirurgicznej w Edymburgu, skąd przeszedł w 1887 roku do kolegium królewskiego w Londynie. W nagrodę zasług, położonych dla rozwoju chirurgii, królowa Wiktorya mianowała go baronetem, a później baronem.

Lister napisał mnóstwo dzieł i rozpraw fachowych, które grono lekarzy angielskich postanowiło zebrać i wydać ku uczczeniu ośmdziesiątej rocznicy urodzin sędziwego uczonego i dobroczyńcy ludzkości.



Zajęcie Udżdy: Komisya, złożona z konsulów europejskich i Marokańczyków, która obraduje w Tangerze nad zaprowadzeniem policyi międzynarodowej.

Zajęcie Udżdy.

Przez kilka miesięcy pozorna cisza zaległa w Marokku. Zdawało się, że jedyny praktyczny wynik konferencyi w Algeçiras, to jest utworzenie międzynarodowej policyi, będzie mógł wejść w życie, przyczyniając się do uspokojenia tego kraju, który tak mocno obchodzi teraz mocarstwa europejskie. Tymczasem okazało się, że nadzieje uspokojenia były płonne, czego najlepszym dowodem zamordowanie w mieście Marokku francuskiego lekarza doktora Mauchampa, o czem pisaliśmy poprzednio.

Bezpośrednim rezultatem tego morderstwa, dokonanego w sposób niesłychanie dziki, było zajęcie przez Francuzów marokańskiej oazy Udżdy, z miastem tegoż nazwiska, którego podajemy dziś widok ogólny. Zgrozą przejmuje drugie zdjęcie, na którem widać mury Udżdy, ugarnirowane głowami ściętych buntowników. Trzecie zdjęcie przedstawia ciało dyplomatyczne i delegatów marokańskich, zebranych w Tangerze na konferencye celem omówienia kwestyi policyi międzynarodowej.

Konferencye te stały się teraz prawie bezprzedmiotowemi, bo Francuzi na własną rękę będą zmuszeni się zająć uporządkowaniem spraw marokańskich, jako najbliżsi i najwięcej interesowani sąsiedzi sułtana. W żadnym zaś razie nie opuszczą wprzód Udżdy, zanim nie otrzymają zupełnego zadośćuczynienia za śmierć swego współrodaka.



Zajęcie Udżdy: Głowy ściętych buntowników zawieszone na murach miasta Udżdy

---

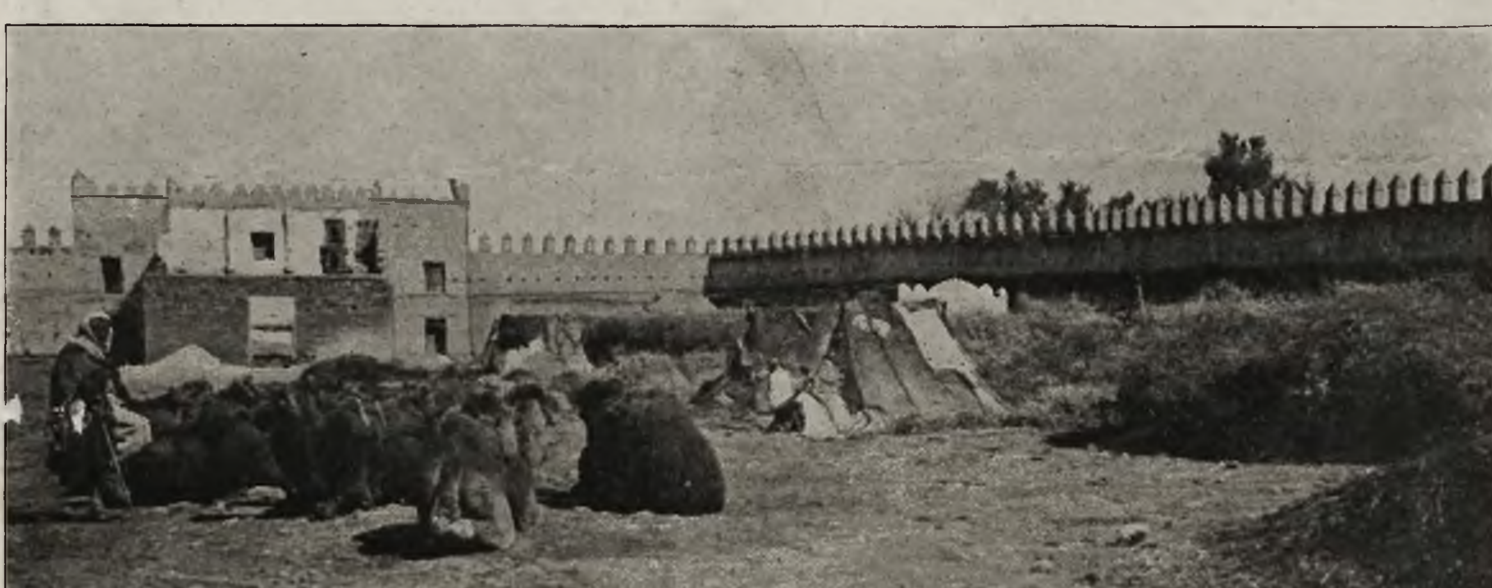
Zabójcy Jana Gadomskiego.

Bandyci, od których kul zginął nieodżałowanej pamięci działacz społeczny i znakomity publicysta Jan Gadomski, redaktor i wydawca „Gazety Polskiej“ w Warszawie — znajdują się już od dłuższego czasu pod kluczem.

Ponieważ jednak na ujętych przez policyę zbrodniarzach ciążyły zarzuty, iż wynajmowali się oni partyom skrajnym do zabójstw politycznych, nie można było przed czasem ujawniać ani ich nazwisk ani podobizn.

Stało się to dopiero teraz możliwem, kiedy ukończono już śledztwo pierwiastkowe w sprawie owego głośnego zamachu przy ulicy Foksal na teścia Gadomskiego — i kiedy zabójcy redaktora (który, jak sobie Czytelnicy przypominają, zginął właśnie w obronie napadniętego ojca swojej żony) stają przed sądem.

Zamieszczamy tedy w niniejszym numerze podobizny pięciu uczestników zabójstwa. Są to bandyci: Wojciech Kudriawcew, w partyi zwany „Cyklopem“ (jego kule właśnie stały się przyczyną śmierci ś. p. Gadomskiego), Piotr Kudriawcew („Sokół“), Antoni Mularski („Longinus“), Wiktor Bajer („Jasny“) i Stanisław Chański („Nagan“).



Zajęcie Udżdy: Widok murów, okalających miasto Udżdę, stolicę tegoż nazwiska oazy zajętej świeżo przez Francuzów.

Niezwykła zbrodnia

POWIEŚĆ KRYMINALNA

przez **Goron'a**, byłego szefa bezpieczeństwa w Paryżu.

Tłomaczyła z francuskiego Marya S.

3

— Jak się panu podoba — rzekł dotknięty w swoich oczekiwaniach podprokurator. — Będziemy działać pomimo pańskiego milczenia.

— Panie szefie — zwrócił się do pana Cardec Jaminot — nie przeszukano jeszcze ubrania oskarżonego.

— To prawda — zawołał pan Pardoux, który dosłyszał uwagę inspektora.

Przeszukano wszystkie kieszenie, lecz nie znaleziono żadnego papieru, tylko cztery luidory i trochę drobnej monety w kieszonce od kamizelki, a... w spodniach sztylet, na którym widniały ślady zakrzepłej krwi,

Oskarżony z przerażeniem patrzył na sztylet. który Jeminot podawał podprokuratorowi,

— To nie do mnie należy — szepnął.

Pan Pardoux wzruszył ramionami i powrócił nagle do pierwotnego badania.

— Powiedz pan nareszcie, dlaczego i w jaki sposób zamordowałeś pan tę kobietę?

Na te słowa krew buchnęła do twarzy oskarżonego, który w jednej chwili stał się purpurowy. Z piersi jego wydarł się przeraźliwy okrzyk. osunął się w tył jak gdyby tknięty atakiem apoplexyi.

Wszyscy pospieszyli z ratunkiem.

Pan Pardoux przypomniał sobie zapóźno radę d-ra Mingret. Pospieszył się i tym sposobem popsuł może wynik całego badania.

Podczas, gdy otaczający usiłowali przywrócić przytomność oskarżonemu, podprokurator wydawał rozkaz przewiezienia go do szpitala w Dépôt, dwojga zaś zamordowanych ludzi do Morgi.

Szef bezpieczeństwa przy pomocy inspektora czynił dalsze poszukiwania w pokoju.

W kilku sztukach bielizny, znalezionej w szafie, a należącej zapewne do lokatora, wypruto widocznie wszystkie znaki nożyczkami. leżącemi na półce.

— Zapewne wiedziano, że zamordowany podał fałszywe nazwisko właścicielowi przy wynajmie willi — rzekł inspektor — i dlatego spalono wszystko, co mogłoby nas na jaki ślad naprowadzić.

— Znalazłem tylko w popiele ten kawałek płótna... zdaje się, że to pasek od spodni, lub kamizelki.

Szef bezpieczeństwa wziął szmatę nawpół spaloną, na której spostrzegł te znaki:

„Fant...“

„Rue Ri...“

— To może być nam bardzo użyteczne — rzekł. — Sprawa staje mi się bardziej zagmatwaną, niż tego zdaje się domyślać podprokurator. Ten człowiek, który nie chce wyznać swojego nazwiska... to opowiadanie jego. które natychmiast przerwał... zapewne dlatego, że je uważał za małoznaczące.

— No i te drzwi zamknięte od wewnątrz — dodał Jaminot — jasno wskazują, że nikt tu nie wszedł podczas snu Guicharda, bo przecież byłyby jakieś znaki. Zdaje się, że trzymamy prawdziwego winowajcę.

Pan Cardec poruszył głową.

— Czyżby pan w to wątpił, panie szefie?

— Jeszcze nic nie wiem. Tu są pewne szczegóły, które mogą w błąd wprowadzić.

W oczekiwaniu wozów, które miały przewieść zamordowanych i oskarżonego, p. Cardec z ajentami poszedł obejrzeć całą willę.

Strych był szczelnie zapełniony meblami, należącymi do właściciela pana Boitard. Wprost fizyczną niemożliwością było, by się mógł tu ktoś ukryć, by wejść później do pokoju dla dokonania zbrodni.

Zauważono również, żę cegła, która obsunęła się do kominka, spowodowała wybuch ognia na wewnątrz, grożąc pożarem.

Tymczasem na ulicy zebrała się spora ilość ciekawych, których policyanci z trudnością utrzymać mogli w spokoju i porządku.

Kilku reporterów wściekłych, że z rozkazu podprokuratora nie chciano ich wpuścić do środka. wykrzykiwało głośno na niesprawiedliwość policyi, która pozbawiała dzienniki tak sensacyjnych wiadomości. Pomiędzy publicznością najdziwaczniejsze i najnieprawdopodobniejsze krążyły wiadomości.

Mówiono tam o dokonaniu masowej zbrodni, o trupie mężczyzny i kobiety, pokrajanych w kawałki.

Pan Pardoux zaniepokojony był przedłużającem się omdleniem oskarżonego.

Gdyby ten człowiek nagle umarł, lub zwaryował! Toby była ładna historya!

Trzebaby pożegnać się z marzeniem o wielkości! Musiałby mieć się na baczności przed ostrymi i dotkliwymi napadami nieżyczliwej prasy! A doktor Mingret nie omieszka zeznać, że lekceważenie jego rady spowodowało wypadek.

Z niepokojem nerwowym, w którym najsumienniejszy badacz nie mógłby się dopatrzeć iskry litości dla oskarżonego, pan Pardoux krążył koło chorego, upatrując na jego bladej twarzy znaku powracającego życia.

Naraz odetchnął z widoczną ulgą.

Guichard otworzył zupełnie przytomnie swoje oczy...

Człowiek ten musiał posiadać oczywiście żelazne siły.

Panu Pardoux serce zabiło niekłamaną radością.

Guichard usiadłszy na kanapie, zamyślił się głęboko, opierając łokcie na kolanach z twarzą ukrytą w dłoniach.

W jego wzroku odbijało się raz po raz energiczne postanowienie. wściekłość niemocy i straszna rozpacz.

Pan Cardec, dobry psycholog, obserwował go również, nie zwracając uwagi na słowa, które mu Jaminot ciągle szeptał do ucha.

— Widocznem jest, że ten człowiek cierpi okropnie — myślał. — Czuje, że wpadł w matnię, z której się nie wydobędzie. Ma wrażenie, że wokoło niego wszystko zapada się... ginie... Wie, że cokolwiek się stanie, jest zgubiony!... Ciekawe, jak on się będzie bronił? Czy tylko może będzie walczył? Tak... to człowiek wykształcony, intelektualnie rozwinięty i gdy tylko opuści go pierwsze przygnębienie, będziemy mieli z nim dobrą robotę! Ten się nie da podejść... próżne byłyby zabiegi.

Turkot powozu rozległ się na ulicy i przerwał monolog szefa bezpieczeństwa.

Wbiegł ajent oznajmiając przybycie prokuratora Rzeczypospolitej p. Desmondois i p. Noileau sędziego śledczego.

Pan Desmondois, szef p. Pardoux, był zupełnem przeciwieństwem tego ostatniego. Człowiek ludzki, o wyrobionym zawsze sprawiedliwym sądzie, posiadał wysoką inteligencyę. Był przeciwnikiem systemu zadawania tortur moralnych oskarżonym, celem wydobycia z nich szybszego wyznania, systemu tak praktykowanego niestety pomiędzy rutynowanymi urzędnikami policyi.

Pan Noileau zaś, był to człowiek bardzo sumienny, drobiazgowy do przesady lecz nie był nigdy z góry źle usposobiony względem oskarżonych.

Byłby jednak z tą samą drobiazgowością i zimną krwią przystąpił do badania rodzonego ojca lub drogiej osoby, jak najzwyklejszego zbrodniarza...

Pan Pardoux nie mógł się powstrzymać od ruchu wyrażającego silne niezadowolenie na widok swojego przełożonego. Ten ostatni, powróciwszy do domu, znalazł tam doniesienie o popełnionej zbrodni przy ulicy Clichy i nie tracąc czasu, zabrawszy tylko po drodze sędziego śledczego, pospieszył na miejsce wypadku.

Pan Pardoux zdołał jednak już opanować niezadowolenie, i przyjął prokuratora nadzwyczaj uprzejmie. W duchu odsyłał go do wszystkich dyabłów! lecz od czegóż polityka i dobre wychowanie, którem się tak szczycił. Pan Pardoux nawet okazał się zanadto nadskakującym i grzecznym, co nie uszło uwagi prokuratora. Kazał on sobie w kilku słowach opowiedzieć całą sprawę.

Pan Neileau zaś od chwili wejścia nie spuszczał z oczu Guicharda. Dostrzegł lekki rumieniec przebiegający twarz oskarżonego na jego widok. Zdawało mu się również, że unikał on jego wzroku i że dostrzegł łzy, błyszczące na jego rzęsach.

— To szczególne — pomyślał sędzia. — Gdzież ja u licha widziałem już tę twarz? Podzielił się swojem spostrzeżeniem z Desmondois.

— Tylko — dodał — te ślady podrapań na twarzy utrudniają mi poznanie.

Wahał się chwilę.

— Tak! Teraz jestem pewny, że gdzieś już widziałem tego człowieka, lub też jestem oszukany jakiemś szczególnem podobieństwem... Ależ kogo on mi przypomina?

Guichard nieporuszony siedział — z oczyma utkwionemi w podłogę.

Pan Cardec zbliżył się do prokuratora i szepnął mu słów kilka.

— Ma pan słuszność — odpowiedział tenże — trzeba go jeszcze pozostawić w spokoju — niech przyjdzie do siebie.

I dalej rozmawiał z sędzią śledczym.

— Tak jest — ciągnął dalej pan Neileau. — Nie mylę się, ja go znam. On mnie również poznał — bo zaczerwienił się na mój widok i spuścił oczy.

W tej chwili zajechały dwa wozy, mające odwieść trupy do Morgi i karetka dla oskarżonego.

Pomiędzy zebraną publicznością ostatecznie zawrzało.

Podczas, gdy wynoszono ciała zamordowanych, Guichard wstał nagle i chwiejąc się, czepiając się sprzętów postąpił ku prokuratorowi Rzeczypospolitej i sędziemu śledczemu, którzy stojąc przy drzwiach, rozmawiali z komisarzem.

Pan Pardoux, dotknięty w swoich marzeniach, przysłuchiwał się rozmowie.

Dostrzegł ruch oskarżonego i chcąc wykazać swoją gorliwość, zawołał głośno do ajentów:

— Ależ uważajcie na tego człowieka!

— Jak na teraz niema obawy — odpowiedział inspektor Jaminot. Biedaczysko, nie wygląda na człowieka chcącego uciekać.

Jednakże dwóch ajentów, uchwyciło już za ramię Guicharda, który wyrywając się wołał dziko, rzucając pogardliwe spojrzenie na podprokuratora...

— Zostawcie mnie! Ten pan się myli — ja nie chcę uciekać... Chcę mówić z prokuratorem Rzeczypospolitej.

Pan Desmondois przybliżył się do oskarżonego.

— Słucham pana — rzekł z życzliwością, która go nigdy nie opuszczała przy badaniach.

— Panie prokuratorze — przemówił Guichard, usiłując zapanować nad drżącym głosem — nie chcę dłużej pozostawać pod zarzutem zbrodni, której nie popełniłem.

— A jednak nie może nam pan dowieść, że nie grasz pewnej roli w dramacie, który się odegrał tu, tej nocy.

— Tak to prawda, przyznaję, że postąpiłem niezręcznie. Chciałem uciekać... ale pomyśl pan... obudziłem się pod wrażeniem odurzenia, z którego dotąd nie mogę sobie zdać sprawy. Czułem dziwną próżnię w mózgu. W pokoju było tu ciemno.. Szukałem napróżno zapałek. Dym gryzący tamował mi oddech... dusiłem się... Nagle ujrzałem płomień wybuchający z kłębem dymu... Jak szalony wyskoczyłem z łóżka... nie mogłem już tchu złapać — upadłem na kolana... Sądziłem, że to już ostatnia moja godzina...

Widząc niedowierzanie, malujące się jasno na twarzach obecnych, dojrzawszy lekki ruch ramion sędziego śledczego i dosłyszawszy słowa „śmieszna bajka“, które podprokurator szepnął panu Neileau, oskarżony smutnie potrząsnął głową; jęk wydarł się z jego piersi.

— Oh! lepiej by się stało, gdybym był wtedy umarł — wyszeptał. Nie czułbym wtedy tego okropnego wstydu!... Ah! gdybyście wiedzieli, gdybyście mogli zrozumieć męczarnie, które przechodzę... Widzę przepaść otwierającą się pod mojemi stopami... czuję że w nią wpadnę... wołam ratunku... ale nikt mi ręki podać nie chce... Wydaje mi się przeciwnie, że wszyscy... wszyscy... z prawdziwem zadowoleniem popychacie mnie do zguby!

— Ależ panie — przerwał łagodnie pan Desmondois... choć w części gwałtowność słów pańskich da się wytłómaczyć... nie mogę pozwolić, byś pan mówił dalej w ten sposób. Nie masz pan prawa utrzymywać, że nie pozwolono panu się bronić...

— Czy to tak powiedziałem panie prokuratorze! Zdaje mi się, że zaznaczyłem tylko, iż mi nikt wierzyć nie chce. Wszystko fatalnie się na to składa... Nie chciałem dać żadnych objaśnień bo pan prokurator, nie wiedząc nawet czy jestem winowajcą, czy też ofiarą...

— Ofiarą? — zawołał z wściekłością pan Pardoux dotknięty do żywego — aleś pan bronił się zaciekle ajentom, którzy pana zatrzymać chcieli.

Guichard z głębokiem zdziwieniem patrzał na otaczających...

— Tak jest, broniłem się... nie przeczę... ale co do walczenia... chyba w tej chwili nie byłem w stanie tego uczynić...

— W końcu nie możesz pan zaprzeczyć, że usiłowałeś uciekać!

— Nie... to jasne... i gdybyś pan wiedział kto jestem...

— Jesteś pan Ludwik Guichard, jakeś sam zeznał i...

Oskarżony potrząsnął przecząco głową.

— Nie, nie jestem Ludwikiem Guichard... to niewytłómaczona niezręczność z mojej strony...

Urwał i zdawał się nad czemś głęboko rozmyślać.

W pokoju panowała cisza. Każdy czekał na dalsze wyjaśnienie.

— Ten człowiek zadrwił ze mnie — szepnął wściekły podprokurator, widząc, że sprawa zmienia pierwotny kierunek. Rzucił piorunujące spojrzenie na oskarżonego... którego w tej chwili uważał za swojego mordercę...

— Oh! gdybym to ja mógł prowadzić tę sprawę — pomyślał — dowiódłbym mu jasno, że to on jest sprawcą zbrodni. Po kilku minutach milczenia Guichard zwrócił się do prokuratora Rzeczypospolitej.

— Panie prokuratorze — przed panem jako najwyższą władzą nie mogę mieć tajemnicy. Powiem kto jestem... Na wszystkich twarzach odmalowała się ciekawość. Nareszcie nazwisko mordercy stanie się wiadomem. Stanowczość i powaga, z jaką wymówił te słowa, wskazywały, że człowiek ten musiał zajmować wysokie stanowisko. Lecz rozczarowanie nastąpiło wkrótce, gdy oskarżony dodał:

— Ale powiem to tylko panu samemu, panie prokuratorze. Uczynisz pan potem co zechcesz...

Obecni wyszli i Guichard został sam na sam z panem Desmondois.

— Sędzia śledczy, który panu towarzyszy — nazywa się pan Neileau — zapytał oskarżony.

— Tak jest — ale nie pojmuję pańskiego zapytania.

— Zadałem je — ponieważ zauważyłem, że pan Neileau wchodząc tutaj, usiłował mnie sobie przypomnieć. Oh! zrozumiałem wtedy, jak nierozważnie uczyniłem ukrywając prawdę. Po tej okropnej walce, w której broniłem się jak ścigane zwierzę, nieprzytomny, na widok niebezpieczeństwa, w które wpadłem — to kłamstwo było okolicznością bardzo mnie obciążającą...

To też teraz chcę wyświetlić wszystko! lecz przed chwilą, gdy już chciałem wymienić prawdziwe swoje nazwisko... zabrakło mi odwagi... wstyd mnie powstrzymał... rozpacz przechodząca siły ludzkie!... Pomyśl pan tylko... Znajdowałem się w tym pokoju strzeżony pilnie przez dwóch ajentów. — Oh! zapomniano mi nałożyć kajdanki... winienem za to wdzięczność podprokuratorowi... Byłem pod oskarżeniem okropnej zbrodni, nie mając nic na uniewinnienie swoje — przekonany, że cokolwiek powiem, będzie uważane jako kłamstwo; a miałem przecież przed sobą kolegę, przyjaciela z uniwersytetu...

Szalona boleść tłumiła mu głos: pochylił się do ucha pana Desmondois i wstrząsany łkaniem dokończył spowiedzi...

Gdy skończył, prokurator otworzył drzwi i zawołał pana Neileau.

— Mój sędzio — rzekł poważnie — nie omyliłeś się. Oskarżony jest znajomym pana... Kolegowałeś pan z nim na ławach uniwersyteckich... Przebiegałeś z nim tyle razy bulwar Saint-Michel.

Pan Neileau nie zdawał sobie przypominać...

— Ten pan nazywa się Germonprè — kończył prokurator — podczas gdy oskarżony głowę ku ziemi opuścił — i jest sędzią śledczym w Châlon-sur-Loire.

ROZDZIAŁ III.

W szponach.

Na pewien czas przed rozegraniem tego dramatu miasto Châlon-sur-Loire — było poruszone głośną sprawą.

Pan Berton-Morinval, człowiek znany w mieście, właściciel olbrzymiej metalowej fabryki... radca departamentu — został oskarżony o otrucie swojej żony... Opinia publiczna podzieliła się na dwa obozy...

W prywatnych domach, na zebraniach, po kawiarniach, hotelach, spacerach, o niczem nie mówiono tylko o sprawie Berton-Morinval. Małe miasteczko zamieniło się w trybunał sprawiedliwości. Występowały teraz na jaw — nienawiści kastowe — nieporozumienia polityczne, rywalizacye kobiet, jadowite obmowy — dochodzące do ostateczności, nie licząc już ilości wymienionych spoliczkowań, pojedynków, na szczęście mało groźnych — a nawet kilku zerwań między narzeczonymi.

Byli tacy, a ci należeli do mniejszości, którzy odważnie głosili niewinność oskarżonego. To byli ci, którzy stanęli po jego stronie w czasie wyborów. Wołali głośno, że podobne posądzenie jest podłością, wstydem, bezczelnym napadem!

— No bo jakże to?

— Człowiek inteligentny, który dobił się stanowiska o własnych siłach, stanowiska pierwszego w mieście, którego uczciwość dotąd była nieskalaną, kochany i szanowany przez robotników i urzędników, cieszący się zaufaniem ludzi, powierzających mu swoje interesa — miałby uczynić coś podobnego!

I dla jakiego powodu?

Przecież nie był waryatem!



To też teraz chcę wyświetlić wszystko.

Prawdą było, że nie żył w wielkiej zgodzie ze swoją żoną. Ale czegoż to mogło dowodzić? Nikt dokładnie nie mógł wiedzieć, co się u niego w domu działo. A może nieboszczka czyniła mu życie nieznośnem!? Była to morfinistka, wiecznie chora, rozdrażniona! Czyż można było wobec tego dziwić się, że mąż szukał od czasu do czasu rozrywek po za domem?

Posądzano go o poważne związki z dwiema kobietami, których nazwisk jednak nie śmiano wymienić! Gdyby nawet tak było — czy było to dowodem obciążającym? Może był nieostrożny, oszukiwał żonę, ale od tego do popełnienia rozmyślnej zbrodni jeszcze daleko!

Po za tem nie można było nie przyznać, że był wyjątkowym ojcem — że uwielbiał swoją córkę Alicyę.

I ten człowiek miał zabić matkę, rzucając nie zatartą plamę na nazwisko ukochanej córki — i to — w chwili gdy mówiono o blizkiem jej małżeństwie z młodym urzędnikiem sądowym z Paryża? Czy to wszystko było choć trochę logiczne? I po cichu, bo była to rzecz zanadto niebezpieczna, mówiono dziwne rzeczy o panu Germonprè, sędzi śledczym, który prowadził tę sprawę, i znajdowano, że tenże grał w niej dość tajemniczą i niejasną rolę.

Rzeczywiście, najmniej bystry obserwator mógł zauważyć, że sędzia, dumny i zimny ukrywał pod pozorną powagą — szaloną ambicyę, dziką zazdrość w obec ludzi stojących wyżej od niego, czy to pod względem urodzenia, czy też socyalnej pozycyi. Był synem biednego urzędnika magistratu, nie mającego żadnego osobistego majątku!

Tak! był zazdrosnym! — a przedewszystkiem zazdrościł Bertonowi-Morinval, którego teraz nareszcie trzymał w rękach! Nie było dla nikogo tajemnicą, że niegdyś ubiegali się oni równocześnie o względy posażnej jedynaczki w sferach wyższej burżuazyi.

Wiedziano również, że panna wybrała Bertona-Morinval, a on pogardliwie odrzucony, ugodzony w swej ambicyi, zwrócił się niezwłocznie do brzydkiej i niesympatycznej córki droguerzysty z okolicy — mającej dla opłacenia swej wyjątkowej brzydoty 60 tysięcy franków posagu i nadzieje na przyszłość — lecz która również nie posiadała żadnego wykształcenia, a w dodatku znaną była ze złego charakteru.

Germonprè nigdy nie zapomniał tej porażki — i szczerze nienawidził swojego rywala i jego żony.

Córka droguerzysty zostawszy panią Germonprè, podsycała tylko urazę sędziego. Nienawidziła tej pretensyonalnej sroki i nie krępowała się wcale, zarzucając jej złośliwie — różne skandale, których miała być bohaterką. Gdy przypadkowo rywale spotykali się w świecie — a nie często bywali oni w tych samych kółkach — zamieniali zimne ukłony i parę banalnych frazesów. Kobiety zaś rzucały sobie fałszywe i ironiczne grzeczności.

We wszystkich swoich czynnościach Germonprè był zdeklarowanym antagonistą Morinvalla. Morinval hołdował liberalnym zasadom. Germonprè głośno się afiszował ze swojemi skrajnie socyalistycznemi przekonaniami. Polityka do reszty rozjątrzyła i zaostrzyła niezgodę, która jaskrawo wystąpiła przy ostatnich wyborach. Kandydat usilnie popierany przez sędziego, by obalić nim kandydaturę Morinvala — został sromotnie obity. Sprawa ta dodała tylko oliwy do ognia.

I teraz stronnicy Morinvala utrzymywali, że sędzia nie powinien był przez samą szlachetność prowadzić sprawy swego politycznego przeciwnika i powinien ją oddać w ręce którego z kolegów. Z prawdziwym cynizmem sędzia igrał z opinią publiczności. Czyżby był do tego stopnia zaślepiony nienawiścią — i szaloną radością, że nareszcie będzie mógł do woli nasycić swoją zemstę — otwarcie i prawnie? A może liczył, że ta sprawa uczyni go rozgłośnym, sławnym i że zostanie nareszcie wynagrodzony jakiem wyjątkowem odznaczeniem?

Któż mógł odgadnąć tajne myśli tego bladego człowieka, o zimnem spojrzeniu, którego wązkie usta nie uśmiechały się nigdy!

Berton-Morinval miał wielu przeciwników — był ich cały legion — należeli do niego jego koledzy kupcy, których żółć zalewała na widok powiększającego się corocznie jego majątku i znaczenia, potem wszyscy ci, których polityczne przekonania różniły się od przekonań Morinvala, — dalej amatorowie skandalów — w końcu cała armia tłumu nędznego, ulicznego, która stanęła po stronie przedstawiciela sprawiedliwości — w naiwnem przekonaniu, że ci mylić się nie mogą — i jeżeli oskarżają, to opierają to na dowiedzionych faktach. Dla tych ludzi Germonprè był bohaterem dnia, ofiarą obowiązku, który nie zwracając uwagi na jadowite zaczepki — szedł swoją drogą — dążąc z podniesioną głową do jednego celu — do wyświetlenia prawdy.

Czemże była w obec tego jawna rywalizacya przeciwników? Czy to się nie zdarzało często w świecie — a szczególniej w małych kółeczkach prowincyonalnego miasteczka, jakiem było Châlon-sur-Loire? Czy było to powodem by odrzucony kandydat miał zachować wieczną urazę?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Aresztowanie wiecu w szkole.

Wypadkiem dnia w Warszawie było aresztowanie masowe kilkudziesięciu uczniów gimnazyalnych, odbywających wiec w szkole. Mianowicie policya



Aresztowanie wiecu w szkole: Prof. Władysław Bukowiński, dyrektor szkoły Zrzeszenia nauczycieli w Warszawie.

wkroczyła niespodzianie do ogromnej kamienicy przy ul. Nowowielkiej l. 1c, gdzie mieści się popularna w Warszawie prywatna szkoła realna Zdzisława Majewskiego pod nazwą „Szkoła Zrzeszenia nauczycieli“. Wszystkie wyjścia w całym domu zamknięto i obsadzono strażą, nikogo z mieszkańców nie wypuszczając. Wkroczono do lokalu szkolnego, w którym odbywał się wiec około pięćdziesięciu uczniów szkół warszawskich i z innych miast Królestwa. Podobno przedmiotem obrad miała być sprawa bojkotowania innych zakładów naukowych w kraju, oraz sprawa zdawania egzaminów dojrzałości w cesarstwie. Przez szereg godzin trwała szczegółowa rewizja, po której zabrała policja liczne papiery i druki. Wszystkich obecnych tam uczniów wraz z nauczycielami w liczbie około 50 osób aresztowano i odstawiono pod konwojem do więzienia. Po śledztwie część aresztowanych uczniów zamieszkałych w Warszawie, uwolniono na razie. a zatrzymano nadal w więzieniu młodzieńców z prowincji aż do przyjazdu rodziców i opiekunów.

W szkole Zrzeszenia kształciło się w ostatnim czasie około 500 chłopców.

Epilogiem powyższego zajścia było zamknięcie szkoły Zrzeszenia przez generał-gubernatora na czas trwania stanu wojennego i wydalenie bezpowrotne ze wszystkich szkół uczniów, którzy uczestniczyli w wiecu; wreszcie drogą administracyjną skazano na trzy miesiące więzienia dyrektora Władysława Bukowińskiego i inspektora Zygmunta Herynga, których obu zamieszczamy podobizny.

Emancypantki rosyjskie.

W kraju, gdzie stykają się ze sobą wprost dyametralne sprzeczności, gdzie obok bezwzględnego despotyzmu kwitnie tak wybujała anarchia, jak nigdzie na świecie, w kraju, gdzie istnienie konstytucyi i parlamentu nie przerwało na chwilę rządów fanatycznej biurokracyi — nie mogło także braknąć silnego ruchu feministycznego, zmierzającego do absolutnego zrównania w Rosyi praw kobiety z prawami mężczyzny.

Wiadomo powszechnie, jak wybitną rolę odgrywały i odgrywają kobiety w dziejach rosyjskiej rewolucyi od samych jej początków. We wszystkich znaczniejszych spiskach i zamachach brały one znakomity udział, a czynną, uiezmordowaną propagandą oddały olbrzymie przysługi stronnictwom przewrotu. Nic dziwnego tedy, że kobiety rosyjskie, narażając się w pewnych sferach na te same niebezpieczeństwa co i mężczyźni, „de facto“ wyrobiły sobie równouprawnienie. Większość jednak kobiet rosyjskich, nie stykających się bezpośrednio z ruchem rewolucyjnym, takiego równouprawnienia nie posiada, owszem więcej niż w innych krajach, skrępowana jest postanowieniami prawa.

To też wielki ruch emancypacyjny, jaki powstał w ostatnich dziesiątkach lat pośród kobiet w Europie, nie mógł nie odbić się silnem echem w granicach Rosyi. Przytem zauważyć należy, że kobiety rosyjskie, z właściwą swemu narodowi skłonnością do popadania w ostateczności, idą w swoich emancypacyjnych zapędach daleko da-



Aresztowanie wiecu w szkole: Prof. Zygmunt Heryng, inspektor szkoły Zrzeszenia nauczycieli w Warszawie.

lej, niż ich siostry zachodnio-europejskie. Teorye komunistycznego ustroju społeczeństwa, wolnej miłości i t. p. znajdują wśród nich wiele gorliwych zwolenniczek, gotowych czynem popierać głoszone przez siebie zasady.

Umieszczone w dzisiejszym numerze zdjęcie przedstawia grupę głównych działaczek w tym kierunku, które przewodniczyły ogólnemu wiecowi kobiet rosyjskich, jaki kilka dni temu odbył się w Petersburgu.



Emancypantki rosyjskie: Grupa uczestniczek pierwszego wiecu Rosyanek w Petersburgu walczących o równouprawnienie kobiet. (Fot. A. Drankow, Petersburg.)

Kronika tygodniowa.

Każdoroczny maj budzi zachwyty i radości. Miesiąc bzów i słowików, miesiąc budzącej się ze snu natury, miesiąc najwyższego napięcia energii miłosnej, posiada jeszcze ten przywilej, że obfituje w liczne święta, a więc daje pole do majówek i czas do spożytkowania wybuchów serca. Tegoroczny maj przedstawia się pod względem świąt idealnie. Zaraz 1 maja mamy święto robotnicze, 3 święto narodowe, 5 niedzielę, 8 św. Stanisława, 9 Wniebowstąpienie Pańskie, 12 niedzielę, 17 wybory do parlamentu, 19 i 20 Zielone świątki, 24 wybory uzupełniające, 26 św. Trójcy, 30 Boże Ciało. Razem świąt kościelnych i cywilnych 12. Jeżeli zaś weźmiemy na uwagę, że dla znacznej części ludności święta wyborów nie ograniczą się do dwóch dni terminowych, że owa znaczna część urządzi sobie co najmniej cały tydzień świąteczny, jeżeli nie całe dwa tygodnie, to śmiało można powiedzieć, że takiego świątecznego i wesołego maja dotychczas jeszcze nigdy nie mieliśmy, a drugiego prawdopodobnie nigdy się nie doczekamy.

Już dziś wyborcze święta majowe zajmują szpalty prasy prawie niepodzielnie poza telegramami i sprawozdaniami z posiedzeń rad miejskich. Przed miesiącem każdy dziennik poświęcał im przeciętnie po 100 wierszy, przed dwoma tygodniami rozpoczęto udzielanie dawki podwójnej, a od kilku dni z frontu i w środku dzienników po 300, 400 i 500 wierszy wieści nam, którzy obywatele mają nadzieję zostać przedstawicielami narodu i jak się do tego zabierają. Niezadługo i z parteru dzienników (czyli tak zwanego fejletonu) będą musiały ustąpić różne „Antychrysty“ „Dzieje grzechu“, „Córki Tuśki“ i td. bo przyszli szczęśliwi i niedoszli przedstawiciele narodu zabiorą ów parter na swój użytek. W skutek tego może się uda pięknej Ewie z „Dziejów grzechu“ jeszcze na parę tygodni uratować swe dziewictwo (a wisi ono już na ostatnim włosku), a i Pita z „Gazety Lwowskiej“ zatrzyma się nieco na drodze uświadomienia. Całe szczęście, że dzienniki posiadają jeszcze czwartą stronicę i że nawet największa miłość spraw publicznych nie skłoni ich do zrzeczenia się ogłoszeń. Dzięki temu jedynie utrzyma się w naszej prasie pewna rozmaitość treści, przerywająca monotonię artykułów wyborczych.

Co prawda, monotonia ta posiada pewne urozmaicenie. Proszę mi np. pokazać dwa sprawozdania z jednego zgromadzenia wyborczego, któreby zgadzały się ze sobą w szczegółach. Dajmy na to, że w Głuptasowie nad Dunajcem (bo są Głuptasowy i nad Wisłą, Popradem, Sanem, Dniestrem, Pełtwią, Zgniłą Lipą i td.) odbyło się zgromadzenie wyborców, na którem stanęli jako kandydaci pp. Pigułka, Skowronek, Tytaliński, Salzstangel, Kaundkasteuermann, Czerwonka i td. (Każdy okręg ma bowiem co najmniej 12 kandydatów). Jeżeli weźmiecie do ręki pierwszy dziennik, to się dowiecie, że Pigułkę noszono na rękach, że Skowronka wygwizdano, że Tytaliński zapomniał języka w gębie, Salzstangel uciekł tylnemi drzwiami, Kaundkasteuermanna nie dopuszczono do głosu, a Czerwonka plótł takie niestworzone rzeczy, że nawet ławki i stoły pękały od śmiechu. Korespondent drugiego dziennika zaręczać będzie, że po wspaniałej mowie Czerwonki wszyscy obecni jednogłośnie, z niesłkamanym entuzyazmem, zatwierdzili jego kandydaturę, że Pigułka okrył się śmiesznością na całe życie, że Tytaliński znikł jak kamfora, tylko policyi zawdzięczając swe ocalenie, że Skowronek powiesił się z rozpaczy, ale go na czas odcięto i td. W trzecim dzienniku sprawozdawca zaznaczy zupełny tryumf kandydatury Tytalińskiego, który w przemówieniu swojem okazał się mężem szerokich horyzontów, urodzonym mówcą, pierwszorzędnym znawcą stosunków krajowych, stąd też kiedy innym mówcom przerywano, a Czerwonkę poprostu za drzwi wypchnięto, mowę Tytalińskiego przyjmowano niemilknącemi oklaskami, w nim widząc jedynego poważnego kandydata! Czwarty dziennik wypowie radość, że wyborcy Głuptasowa nie dali się uwieść niezdrowej agitacyi, ale stanęli jak mur za kandydaturą niesłychanie popularnego, mocno zasłużonego, najuczciwiej uczciwego męża, jakim jest Kaundkasteuermann, to też przyjemnie było słyszeć jak serdecznie witano mowę tego patryoty, nie chcąc nawet słuchać jąkania Tytalińskiego i wrzasku kandydata Pigułki, który pojawił się na zgromadzeniu w nietrzeźwym stanie; inni kandydaci nie zasługują nawet, aby o nich wspominać. Szczęściem, że jest piąty dziennik, który zapewni, że w okręgu głuptasowskim kandydatury Kaundkasteuermanna, Czerwonki, Tytalińskiego, Pigułki i td. całkiem przepadły, albowiem zgromadzenie wyborców miało sposobność przekonać się, że jedynym mężem, jakim powiat głuptasowski słusznie poszczycić się może, jest Skowronek, znakomity mówca, prawy obywatel, krew z krwi i kość z kości Głuptasowa. Szczęściem, że jest jeszcze i szósty dziennik; bo inaczej skąd dowiedzielibyśmy się, że w głuptasowskiem pewną jest jedynie kandydatura Salzstangla, zacnego patryoty, który swym niepokonanym taktem i wyższością umysłową umiał pogodzić wrogie kierunki i przekonać ludność, że nie we wstecznictwie reprezentowanem przez Tytalińskiego, nie w utopijnych doktrynach Czerwonki, nie w suchym biurokratyzmie i bezbarwności Kaundkasteuermanna, nie w ciasnym nacyonaliźmie Pigułki i zaściankowym demokratyźmie Skowronka leży przyszłość i odrodzenie kraju.

Dzięki takim sprawozdaniom i takiej „prawdzie“, płynącej z organów naszej prasy, wiemy przynajmniej dokładnie, że nic nie wiemy. Ktoby chciał na podstawie podobnych relacyj stawiać jakiekolwiek horoskopy co do rezultatu nadchodzących wyborów, tenby srodze zawiódł siebie i tych, coby mu wierzyli. A przecież zdawałoby się naprzód, że nic łatwiejszego jak napisać, iż kandydata A. oklaskiwano, że kandydata B. wyśmiano, jeżeli go rzeczywiście wyśmiano, że kandydata C. nie dopuszczono do głosu, jeżeli go rzeczywiście nie dopuszczono. A my tymczasem nie wiemy nawet naprawdę którego z kandydatów rzeczywiście za drzwi wyrzucono. Wszystkim relacyom wierząc musielibyśmy przypuszczać, że wyrzucono wszystkich i że Głuptasów pozostał bez kandydatów[1]).

A tak źle nie jest. Czego jak czego, ale kandydatów na posłów nigdzie nie zabraknie. Znajdzie się więc i przedstawiciel Głuptasowa w parlamencie, tylko mu będzie nieco ciasno. Tak jemu jak zresztą i innym posłom. A to z tego mianowicie powodu, że sala wybudowana dla niespełna 400 posłów, będzie musiała blisko o 200 więcej pomieścić. Więc też ścieśniono przejścia i fotele. Poseł o potężnych peryferyach będzie miał kłopotu nie mało, zanim je wciśnie w ramy fotelu. Ale będzie inna korzyść. Oto stanie się niemożliwą walka o przekonania na pięście, walka, której parlament austryacki w ostatnich czasach nieraz bywał świadkiem. Obecnie dla tej walki zabraknie „pola“ przed trybuną. Wskutek tego trudny będzie dostęp i do prezydenta, aby mu pięścią przed nosem pogrozić i atrament mu wylać i papiery mu podrzeć i jakim fascykułem w głowę go uderzyć. Będzie ciasno, ale bezpieczniej. Pozostaną tylko pulpity do łamania.

Nie wiem czy te warunki bezpieczeństwa posiada sala sejmu finlandzkiego. A sejm ten (tak przynajmniej zapowiadają) będzie bardzo wojowniczy. Nietylko, że weszło do niego wielu socyalistów, ale rozwinie w nim swoją energię 19 poślic. Nie „posłowych“, bo posłowa to żona posła, a te dziewiętnaście dam zdobyło wprost dla siebie mandaty. Jest pomiędzy niemi służąca p. Sillanpaa, jest i włościanka jakaś bardzo podobno wymowna; przeważnie są to socyalistki. Korespondent petersburskiego „Towariszcza“ z Wyborga opisuje barwnie jak te panie za sobą agitowały. Mężczyzn używały tylko do... orkiestry, która poprzedzała ich pochód na miejsce mityngów. „Podczas przemówień — pisze sympatyzujący z tym ruchem korespondent — obszedłem do koła całe zgromadzenie. Na zewnątrz tłumnie zgromadzili się mężczyźni, niektórzy z niemowlętami na rękach, inni z wózkami pełnemi dzieci!!“ Korespondent bynajmniej nie ironizuje, stwierdza tylko fakt. Nie spodziewał się Fredro, że jego „Gwałtu co się dzieje“, z dziedziny żartu przejdzie w dziedzinę rzeczywistości.

Wogóle kobietom zaczyna się lepiej powodzić nawet w Ameryce, gdzie niedawno (o zgrozo!) postanowiono (co prawda w jednym tylko Stanie) ograniczyć ilość i jakość ich kapeluszy, o czem szerzej w jednej z poprzednich kronik wspominałem. Kapelusz dobra rzecz, ale mąż chyba lepsza. Otóż p. Forf Dodge, syndyk New-Yorku, jest autorem ustawy, która w tym kierunku błogie wydać może owoce. „Wszystkie osoby (tak brzmi ustawa, zatwierdzona już jednogłośnie przez radę administracyjną) będące w wieku od lat 25 do 45, jeśli są zdrowe na ciele i pozostają w celibacie, powinny zawrzeć śluby małżeńskie w ciągu dwóch miesięcy, inaczej podlegną karze pieniężnej od 50 do 5000 dolarów“. Krótko i węzłowato — po amerykańsku. Szkoda, że nasze ustawy gminne nie pozwalają na wydawanie podobnych postanowień. Możeby przyszłych posłów zobowiązać, aby w tym kierunku rozszerzyli prawa gmin. Wówczas mielibyśmy całe dwa miesiące świąt „rodzinnych“. Więc wpłyńcie na kandydatów, łaskawe Czytelniczki, bo bądź co bądź, lubo mężowie niewiele są warci, ale zawsze lepiej ich mieć, niż czekać zanim co lepszego dla was świat nie wynajdzie.

Europa jednak zawsze ma zastarzałe pojęcia. W Wiedniu wre agitacya nie za małżeństwami, lecz za rozwodami. Tak, co jednym smakuje, w drugich wstręt budzi. Agitacya wiedeńska doprowadza nawet do skandalów. Dnia 9 b. m. do sali hotelu Bawarskiego na Taborstrasse zwołano zgromadzenie rozwodowców. Przybyli i przeciwnicy, a kiedy ich nie dopuszczono do głosu zerwała się taka burza, że komisarz policyi musiał rozwiązać zebranie. Awantura przeniosła się na ulice i dopiero wezwana straż policyjna położyła koniec mącącym spokój Nadasom.

Z hotelu Bawarskiego, przenieśmy się do Bawaryi. W miasteczku Klauburgu obradowała rada gminna nad udzieleniem subwencyi Towarzystwu hodowli drobiu. Przeciwnicy subwencyi, będący zwolennikami oszczędności, stawiali jako argument, że jeżeli się da zapomogę Towarzystwu hodowli drobiu, to będzie potrzeba uwzględnić i podanie o subwencyę, wniesione przez Towarzystwo śpiewackie. Dyskusya była gorącą, tak prawie gorącą, jak u nas, kiedy idzie o obsadzenie... posady nauczycielki. Wtem powstał jeden z ojców miasta i przemówił w te słowa: „Co tu dużo gadać! Śpiewać każdy umie, ale niech mi kto z panów potrafi znosić jaja. Dlatego głosuję za udzieleniem subwencyi Towarzystwu hodowli drobiu, a przeciw subwencyi dla Towarzystwa śpiewackiego!“ Śmiech zagłuszył słowa mówcy — w głosowaniu silny jego argument zwyciężył.

Nawiasem mówiąc szło o 100 marek. Ojcom Klauburga suma taka wydawała się poważną. I niejednemu z nas poważną się wydaje. Ale są szczęśliwcy dla których 500 i 600 razy po sto marek jest drobiazgiem. Ba! gdyby tak sądził miliarder amerykański, to byłoby jeszcze w porządku. Ale tak sądzi literat. Naturalnie nie nasz polski literat, lecz włoski. Słynny powieściopisarz d'Annunzio wyrażał nieraz chęć odwiedzenia Ameryki południowej. Dowiedziawszy się o tem bawiący w Monte-Carlo impresario Bonetti, zaproponował poecie włoskiemu wygłoszenie w Ameryce seryi odczytów. Propozycyę w zasadzie przyjęto, a przyjaciel d'Annunzia Ricardi miał się porozumieć o warunki. Bonetti ofiarował za 8 odczytów 80.000 franków i koszta podróży. Zachwycony tem Ricardi telegrafował do Annunzia i otrzymał odpowiedź: „Byłem zdecydowany pojechać za ocean, ale nie za cenę paczki papierosów“.

Na końcu nowina miejscowa. „Polska Demokracya“, żyjąca dotychczas na wiarę z posłem Daszyńskim, wstępuje w związki małżeńskie z neostańczykiem. Pierwsza uroczysta zapowiedź wygłoszoną została na poniedziałkowem budżetowem posiedzeniu Rady miejskiej. Jako podarunek zaręczynowy ma oblubienica otrzymać szkatułkę z dwoma mandatami — pierścionkiem jej ślubnym ma być wiceprezydentura miasta. Tak się skończy walka... o zasady.

[1]) Na tę sprzeczność relacyj wpływa nieraz i zachowanie się niektórych komitetów, które zamykają drzwi... przed bezstronnymi korespondentami. Tak np. w Stanisławowie (wiemy to z dobrego źródła) wachmistrz policyi z polecenia burmistrza pana Nimbina wydalił ze zgromadzenia p. Sch. korespondenta paru dzienników. Sądzimy, że sprawą tą, ubliżającą stanowi dziennikarskiemu, powinny się zająć szersze koła dziennikarskie, piętnując jak należy postępowanie kacyka stanisławowskiego.

Redakcya.

Zamach na lekarza.

Znany lekarz i publicysta, dr. Józef Drzewiecki w Warszawie, padł ofiarą nikczemnego zamachu. Przed tygodniem w południe, wychodząc z mieszkania swego przy ul. Smolnej, spotkał w bramie dwóch nieznanych młodych ludzi, którzy dobywszy rewolwerów, dali do niego kilka strzałów, poczem zbiegli. Zalewając się krwią, raniony powrócił do mieszkania, a wkrótce okazało się, że postrzał jest znacznie cięższy, niż zdawało się na razie. Kula ugodziła w czoło, poszła pod podstawy czaszki i utkwiła w okolicach karku. Ponieważ dr. Drzewiecki stracił władzę w dolnych kończynach, zachodziła obawa, iż kula musiała drasnąć kręgosłup. Przewieziono tedy chorego do zakładu chirurgicznego dra Sollmana, gdzie sprawdzono, iż kula złamała siódmy krąg szyjowy i pierwszy piersiowy, toteż cały mlecz został przerwany, a wobec tego

lekarze nie mogli robić operacyi i stracili nadzieję utrzymania rannego przy życiu. Wkrótce też stan chorego pogorszył się znacznie i wreszcie ranny wyzionął ducha, opatrzony ostatniemi Sakramentami.

Ś. p. dr. Józef Drzewiecki zmarł w sile wieku, licząc lat 47. Po ukończeniu uniwersytetu warszawskiego, był przez kilka lat ordynatorem kliniki terapeutycznej wydziałowej w szpitalu św. Ducha. Od r. 1890 poświęcił się homeopatyi, którą wyłącznie odtąd uprawiał z zamiłowaniem i umie-



Zamach na lekarza: Edward Friboldt, jeden z zabójców dra Drzewieckiego.

jętnością. Założył Towarzystwo zwolenników homeopatyi, którego był prezesem, założył aptekę homeopatyczną na Nowym Świecie. Wreszcie jako zapalony zwolennik wegetaryanizmu, powołał do życia pierwsze w Polsce Towarzystwo jaroszów. Propagował zasady jarstwa w gorących broszurkach, pisanych popularnie i przekonywująco. Wydał też szereg broszur o homeopatyi. Liczne prace swoje i rozprawy naukowe z dziedziny medycyny, hypnotyzmu i okultyzmu, ogłaszał nietylko w pol-



Zamach na lekarza: Ś. p. Józef Drzewiecki, zabity w Warszawie przez bandytów.

skich czasopismach fachowych, ale i w angielskich, francuskich i niemieckich, władał bowiem wybornie językami obcemi. W r. 1895 był redaktorem i wydawcą tygodnika warszawskiego „Niwa polska“, gdzie drukował swoje studya literackie, między innemi o Hoene-Wrońskim. Tragiczna śmierć głośnego w Warszawie lekarza i publicysty wywołała żal szczery w licznych kołach jego znajomych.

Pobudki zamachu na jego życie dwóch opryszków są na razie niewyjaśnione. Policya ujęła obu zbrodniarzy w chwili ich ucieczki w alejach Jerozolimskich. Obaj mają po lat 20, a nazywają się: Edward Friboldt i Stanisław Grell. W śledztwie nie chcą się bliżej tłomaczyć, zapewniając jedynie, że dokonali zamachu pod wpływem trzeciej osoby, a podobno zostali w tym celu przekupieni.

W ostatniej chwili dochodzi wiadomość, że aresztowano już w Warszawie owego osobnika, który za 30 rubli wynajął Fryboldta i Grella do spełnienia ohydnej zbrodni.



Zamach na lekarza: Stanisław Grell, jeden z zabójców dra Drzewieckiego.

Pożegnanie lekarza.

W powiecie drohobyckim serdeczny żal wywołała wiadomość, że dr. Franciszek Senkiewicz przenosi się na nowy posterunek.



Fot. A. Lieberman w Drohobyczu.

Pożegnanie lekarza: Urzędnicy starostwa w Drohobyczu, żegnający asystenta sanitarnego dra Franciszka Senkiewicza, opuszczającego powiat drohobycki. (1. dr. Senkiewicz 2. Starosta Noel).

Zdolny ten lekarz, jako asystent sanitarny starostwa w Drohobyczu, położył znaczne zasługi około zdrowotności powiatu, pracował bowiem na swem odpowiedzialnem, a bardzo trudnem w stosunkach galicyjskich stanowisku gorliwie, jak zwykł działać człowiek, żyjący dla szczytnej idei uzdrowienia kraju rodzin[illegible] A dr. Senkiewicz, jakkolwiek urzędnik [illegible], dał się poznać jako dobry patrjota, poświęcający dla kraju zarówno swą wiedzę, jakoteż siły fizyczne.

[illegible] p. Noel, z okazji po[illegible]nia odjeżdżającego lekarza, zainicyował [illegible] fotografię urzędników starostwa dla ofiarowania grupy tej na pamiątkę drowi Senkiewiczowi.

Zamieszczamy dziś właśnie reprodukcyę tej grupy; pośrodku, obok starosty widać tam żegnanego lekarza, któremu w całym powiecie drohobyckim towarzyszą serdeczne życzenia „Szczęść Boże“ na nowym posterunku pracy obywatelskiej.



Fot. B. Lieberman w Drohobyc[illegible]

Tragedya miłosna: Zwłoki kasyerki kawiarnianej Heleny Królównej, zastrzelonej przez porucznika Riedla w hotelu »Boulevard« w Drohobyczu.

Tragedya miłosna.

Cały Drohobycz znał dobrze „piękną Helenę“. Tak nazywano kasyerke kawiarnianą, przystojną blondynę o ciemno-niebieskich oczach, Helenę Królównę. Za bufetem kawiarni Schönholza odpowiadała donżuanom, o jej względy ubiegającym się natarczywie, że serce jej zostało w Kołomyi, gdzie poprzednio była zajętą również jako kasyerka. Bliższych znajomych wtajemniczała nawet w swój stosunek miłosny z porucznikiem Leopoldem Riedlem z 36 p. p. obrony krajowej. Mimo wszystko jednak i w Drohobyczu udało się jednemu z bogatych bywalców kawiarnianych pozyskać względy pięknej Heleny. Dla niego opuściła ona wreszcie posadę kasyerki i zamieszkała prywatnie, otrzymując środki materyalne od nowego adoratora. Ktoś doniósł o tem anonimowo Riedlowi w Kołomyi, skąd Helena odebrała zaraz list z wyrzutami i z zapowiedzią przyjazdu porucznika. Wtedy Królówna opuściła utrzymującego ją kochanka i przyjęła nową posadę kasyerki w cukierni Schönholza, a zamieszkała tymczasowo w hotelu „Boulevard“ przy ul. Stryjskiej w pokoju nr. 8. Musiała ona dać o tem znać porucznikowi Riedlowi, który w czwartek przybywszy z Kołomyi, zajechał wprost do tego numeru. Wobec służby oboje objawiali dobry humor, po obiedzie w restauracyi hotelowej wyszli na przechadzkę, lecz wkrótce powrócili do domu. Około piątej popołudniu Królówna wyszła z hotelu na ulicę i z bramy podobno poszukiwała dorożki, lecz na stanowisku nie było żadnej, więc wróciła do numeru. Wkrótce służba usłyszała trzy strzały rewolwerowe.

Wtargnięto do pokoju, gdzie oczom przybyłych przedstawił się widok okropny. Krew i krew naokół! Na łóżku w bieliźnie leżał na wznak Riedel z browningiem w zaciśniętej ręce. Głowa jego cała poszarpana kulami, wyglądała jak bezkształtna masa krwawa. Z gardła jednak dobywało się jeszcze charczenie przedśmiertne. U jego nóg w pozycyi siedzącej na poprzek łóżka konała Helena w ubraniu, w lekko tylko rozpiętej bluzce jasnej. Z piersi w okolicy serca buchała krew z małej rany, z głowy, ze skroni rozwalonej kulą, również spływała krew. Obok ściana była zbryzgana krwią, podobnie jak cała pościel. Wkrótce zjawiła się komisya sądowa. Strzał porucznika do Królównej w okolicę serca nie był śmiertelny, lecz kula w skroń spowodowała śmierć młodej dziewczyny. Zwłoki jej przeniesiono do kostnicy cmentarnej, gdzie je sfotografowano (reprodukcyę tego zdjęcia zamieszczamy). [illegible]rywającego Riedla odwieziono do szpitala, [illegible] wieczorem umarł z ran samobójczych.

Odwiedziny w Atenach.

[illegible]p Bałkański stanowi dotąd ten drażliwy punkt stosunków europejskich, który nie daje spokoju miarodajnym czynnikom zarówno w Petersburgu, jak w Wiedniu, Rzymie, Berlinie, lub w Londynie. Kwestya macedońska i albańska są ciągle na porządku dziennym, czekając już tyle lat na ostateczne rozwiązanie.

Kongres berliński, zwołany w 1878 roku, zdawało się, że uregulował do pewnego stopnia stosunki na Bałkanie. Było to jednak złudzeniem, gdyż od czasu owego kongresu nie ustały na chwilę gwałtowne zatargi między ludami, zamieszkującymi ten półwysep. Serbowie, Grecy, Bułgarzy, Kucowołosi i Albańczycy zwalczają się w sposób bezwzględny, otrzymując pomoc — choć nieoficyalną — od Bułgaryi, Grecyi, Serbii oraz Rumunii.

Oprócz nienawiści narodowych trzeba brać na uwagę w tym przypadku także interesy państw bezpośrednio interesowanych w sprawach bałkańskich.



Odwiedziny w Atenach: Król grecki Jerzy I. i jego żona, królowa Olga.



Wuj i siostrzeniec: Król Edward VII. i król Alfons XIII. Zdjęcie zrobione podczas ostatniego ich spotkania w Kartagenie.

I tak, Rosya, znożona przez klęski wojny z Japonią i wewnętrzną zawieruchę na razie nie miesza się czynnie do spraw bałkańskich. Obowiązuje ją jednak układ z Austro-Węgrami w Mürzstegg zawarty, w myśl którego ma tam działać tylko w porozumieniu z monarchią Habsburgów. Turcya, najwięcej interesowana, doświadczywszy siły swego oręża na Grecyi, nie zrzecze się tak łatwo prerogatyw, przysługujących jej z mocy położenia geograficznego i tradycyj historycznych, Włochy wreszcie — oddawna mające chętkę na Albanię — nie mogą obojętnie patrzeć na postępy Austro-Węgier, które zwolna, lecz stale, dążą w myśl postanowień traktatu berlińskiego „poza Mitrowicę“ ku zatoce Salonickiej, ku pełnemu Śródziemnemu morzu.

Grecya, podobnie jak Włochy, patrzy wielce zazdrosnem okiem na nietyle wprost agresywne, ile kulturalne postępy Austro-Węgier na Bałkanie. Potomkowie Hellenów nie mają wprawdzie dobrej racyi do zagarnięcia Albanii, podobnie jak i potomkowie Rzymian, lecz uważaliby za cios zadany żywotnym swym interesom narodowym, gdyby czarno-żółte chorągwie powiewały nad krainą, położoną między granicami Grecyi, Serbii, Bułgaryi i Czarnogóry.

W tem oświetleniu odwiedziny króla Wiktora Emanuela, w towarzystwie ministra spraw zagranicznych Tittoniego, nabierają większego znaczenia, niż uważane jako zwykła forma grzeczności.

Zważywszy dalej cały szereg zarządzeń wojskowej natury, tak ze strony Włoch jak i Austro-Węgier, jakich dokonano w ciągu kilku ubiegłych miesięcy, można łatwo przyjść do wniosku, że interesy dwóch tych kontrahentów trójprzymierza, są bardzo sprzeczne. Nic więc dziwnego, że dość wojowniczo usposobiony król Wiktor Emanuel, na wszelki przypadek, szuka sobie sprzymierzeńców na Bałkanie.

Jednym z nich będzie niezawodnie jego teść, ks. Nikita Czarnogórski, drugiego kaptuje sobie w Grekach, złożywszy uroczyste odwiedziny ich królowi Jerzemu w Atenach, gdzie widocznie zapomniano doświadczenia ostatniej wojny z Turcyą.

Z tej okazyi sądzimy, że nie bez interesu będą dla naszych Czytelników podane w dzisiejszym numerze „Nowo. Illustrowan.“ podobizny członków rodziny królewskiego domu greckiego, którego głową jest król Jerzy, rodzony brat obecnego króla duńskiego Fryderyka VIII, cesarzowej-wdowy Maryi Feodorownej i królowej angielskiej Aleksandry.



Odwiedziny w Atenach: Królewska rodzina grecka: Następca tronu ks. Konstanty, jego żona ks. Zofia, ks. Jerzy, były generalny komisarz Krety, ks. Mikołaj, ks. Andrzej.

Parantelę ma on piękną, następca tronu jest ożeniony z siostrą cesarza Wilhelma — ta jednak nie pomogła mu wcale, gdy w roku 1897 Turcyę od pochodu na Ateny powstrzymała cała Europa, ale nie męstwo jego żołnierzy lub Niemcy. Być może, że tym razem spotkanie się w Rapallo kanclerza Bülowa z Tittonim nie pozostało bez wpływu na odwiedziny Wiktora Emanuela w Atenach, a właściwie je przyspieszyło.

Wuj i siostrzeniec.

Związki pokrewieństwa nie odgrywają już w dzisiejszych czasach tej roli w polityce, co ongi. W każdym jednak razie, przyczyniają się do zbliżenia rodzin panujących, i, co zatem idzie, do pewnych względów, jakimi muszą się kierować rządy odnośnych krajów, których regenci węzłami krwi się połączyli. Rzecz prosta, iż tam, gdzie jedna ze stron spokrewnionych jest słabszą, daleko większą przykłada się wagę do przyjacielskich stosunków z możnym kuzynem — niż tam, gdzie sytuacya obustronnie jest, mniej więcej, równa.

Najdobitniejszy tego dowód mamy na Edwardzie VIII, który swego rodzonego siostrzeńca, cesarza-podróżnika, traktuje z drastycznie okazywanem lekceważeniem, a który Alfonsa XIII, męża swej siostrzenicy wyróżnia okazywanemi ciągle i ostentacyjnie sympatyami.

Ostatnie spotkanie się władców Wielkiej Brytanii i Hiszpanii w Kartagenie stanowi dalszy ciąg tych przyjaznych między nimi stosunków. Wtajemniczeni twierdzą, że było ono wynikiem „serdecznego porozumienia“ między Madrytem a Lon-



Fot. n-dw. N. Lissa we Lwowie.

Pogrzeb prezydenta Michalskiego: Po wyniesieniu zwłok, przed ratuszem przemawia dr. Rutowski.

dynem, porozumienia, którego rezultatem ma być wydatna opieka Anglii nad Hiszpanią. W pierwszym rzędzie ta opieka zaznaczy się pomocą finansową przy odbudowaniu floty wojennej hiszpańskiej, która lat temu dziesięć znalazła swe groby na wodach Antyllów i Filipinów; zatem, pójdą zapewne inne, dalsze świadczenia ze strony bogatego i potężnego sprzymierzeńca.

Zdjęcie, w dzisiejszym numerze „Now. Illustr.“ zamieszczone, przedstawia królów: Edwarda i Alfonsa, którzy kilka dni temu dali się fotografować razem, podczas spotkania w Kartagenie.

Pogrzeb prezydenta.

Pogrzeb najpopularniejszego burmistrza lwowskiego, kowala-prezydenta, ś. p. Michała Michalskiego, kosztem gminy urządzony we wtorek, stał się wielką manifestacyą żałobną całego Lwowa. Już na godzinę przed rozpoczęciem pogrzebu gromadzić się poczęły nieprzeliczone tłumy publiczności wokół ratusza i w całym rynku. Pochód formowano z trudnością. Zgłosiło się tyle korporacyj i instytucyj, że potrzebaby półtora kilometrowej linii, aby je ustawić w regularnym ordynku. Musiano się więc ścieśniać. Mimo to i mimo wężowej linii, dla pochodu pogrzebowego wyznaczonej, czoło jego zaczęto formować u wylotu ulicy Piekarskiej. Równocześnie wzdłuż wszystkich ulic, któremi pochód miał się posuwać, zbierały się rzesze publiczności, rosnącej w tłumy, a okna przyległych domów zaczęły się zapełniać ciekawymi. Na czele pochodu stanął pluton straży ochotniczej ogniowej, potem weterani wojskowi ze swoją kapelą. Parę tysięcy dzieci z miejskich szkół, z zakładów sierot i z zakładów dobroczynnych tworzyło dalszą część pochodu. Dalej szło Sokolstwo, a za niem wszystkie lwowskie stowarzyszenia.

Z kolei stanęli ci, którzy najwięcej ze śmiercią śp. Michalskiego stracili: mieszczanie, a dalej ukochane przez zmarłego Towarzystwo strzeleckie. Niesiono tu mnóstwo wieńców, a między temi wiele srebrnych. Nakoniec stanęli w szeregach delegaci warstatowi ś. p. Michalskiego. a za nimi urzędnicy gminy.

Punktualnie o godzinie 3 popołudniu książęta Kościoła w otoczeniu licznego duchowieństwa rozpoczęli nad zwłokami egzekwie, mianowicie w obrządku rz. kat. ks. arcybiskup Bilczewski i ks. biskup Bandurski, w obrządku ormiańskim ks. arcybiskup Teodorowicz i w obrządku gr. kat. ks. mitrat Bielecki, poczem dzwon alarmowy na wieży ratuszowej uderzył 24 razy, co było znakiem, że trumnę ze zwłokami podniesiono już z katafalku. Gdy wyniesiono trumnę przed ratusz i ustawiono ją na noszach, chóry zjednoczonych tow. śpiewackich Lutni i Echa wykonały pieśń żałobną, a na trybunę wstąpił wiceprezydent miasta dr. Rutowski (chwilę tę przedstawia nasza fotografia) i wypowiedział imieniem reprezentacyi miasta przemowę, w której podniósł ogromną miłość i przywiązanie ś. p. Michalskiego do rodzinnego miasta.



Smierć polskiego architekta: Zmarły onegdaj b. dyrektor budownictwa miejskiego w Krakowie, ś. p. Janusz Rawicz Niedziałkowski.

Zaraz potem olbrzymi pochód ruszył naprzód. Za trumną postępowała wdowa p. Michalina Michalska i rodzina, a dalej: namiestnikowstwo hr. Potoccy, marszałek hr. Badeni, członkowie wydziału kraj., naczelnicy wszystkich władz i urzędów. bardzo wielka ilość generalicyi, wielu posłów, deputacye miast, między temi z Krakowa, ze Stanisławowa. z Brodów itd. Pochód zamykał pluton straży ogniowej. Druga nasza fotografia wyobraża część pochodu w Rynku.

Po drodze, obok kolumny Mickiewicza, chór akademicki odśpiewał pieśń żałobną, a dalej, obok komendy korpusnej pożegnała zmarłego prezydenta orkiestra teatralna i chór opery lwowskiej.

Na cmentarzu nad otwartą mogiłą przemawiali: ks. Lenkiewicz, imieniem duchowieństwa, wicepr. Ciuchciński. imieniem mieszczaństwa, dr. Fiszer. imieniem urzędników, dyr. Biechoński, imieniem powstańców 1863 r., p. Schirmer, imieniem rękodzielników.

Żałobną manifestacyę zakończyły chóry Echa i Lutni pieśnią „Beati mortui“.

Śmierć polskiego architekta.

Przed samem zamknięciem numeru niniejszego otrzymaliśmy wiadomość żałobną, że w Krzeszowicach zmarł nagle znany dobrze w Krakowie. Janusz Rawicz Niedziałkowski. były dyrektor budownictwa miejskiego.

Zamieszczając tu ostatnią podobiznę nieboszczyka. nie możemy już z powodu trudności technicznych pomieścić życiorysu zasłużonego dla grodu podwawelskiego architekta. którego tak niespodziewanie z grona żyjących wyrwała śmierć nieubłagana jeszcze w pełni sił żywotnych. jakkolwiek w dość późnym wieku lat 60.

Wykształcony gruntownie jako architekt. ś. p. Niedziałkowski planował budowy licznych gmachów publicznych w Krakowie. a w spuściznie jego pozostało mnóstwo jeszcze planów, któremi niezawodnie zajmie się teraz urząd budownictwa miejskiego.

Zmarły dyrektor w ostatnim czasie jeszcze kierował budową gmachu, który stał się ozdobą naszego miasta. Mówimy o nowym, wspaniałym szpitalu Bonifratrów w Krakowie, z którego otwarcia dawaliśmy swego czasu szereg illustracyj. Plany architektoniczne dał prof. Teodor Talowski. lecz wkrótce przeniósł się do Lwowa. a wówczas kierownictwo budowy powierzono dyr. Niedziałkowskiemu, który doprowadził ją do końca ku powszechnemu zadowoleniu.

Śmierci sympatycznego dyrektora. znanego w mieście z humoru jowialnego i dobrego serca, towarzyszy żal powszechny.

Pokój jego cieniom!



Fot. nadw. N. Lissa, Lwów.

Pogrzeb prezydenta Michalskiego: Część pochodu pogrzebowego w Rynku.

Muzyka w Krakowie.

Święta wielkanocne przerwały na chwilę szereg produkcyj muzycznych. Koniec sezonu przedstawia się niezwykle interesująco ze względu na zapowiedziane przybycie monachijskiej orkiestry symfonicznej Kaima, uchodzącej za jeden z najlepszych i najwybitniejszych zespołów w Europie, rywalizujących tylko ze słynną orkiestrą Colonne'a w Paryżu.

W Krakowie poza koncertami orkiestralnemi T-wa muzycznego, których tylko kilka słyszymy w ciągu roku, tudzież poza koncertami Harmonii, której produkcye podniósł do niebywałej świetności i na wyżyny szczerego artyzmu — dyr. Górski (w tych dniach, niestety, opuścił już Kraków) — nie wiele używali muzyki symfonicznej w artystycznem znaczeniu melomani krakowscy: to też, co prawda, uczęszczając licznie na produkcye wirtuozów, a niezasmakowawszy w pięknościach muzyki symfonicznej, nie bardzo garnęli się na jej produkcye, niechcąc (nie mówię: nie umiejąc) odróżnić jej od popisów, od ucha i dziarsko rżnącej kapeli u Drobnera, Bauera itp. — którą tak mile słucha się przy kufelku...

Wiadomość o przybyciu orkiestry Kaima podziałała elektryzująco na publiczność krakowską. Bilety, szczególniej tańsze, rozchwytano w jednej niemal chwili, tak, iż już na parę dni przed produkcyą nie było biletów, które nawet — rzecz w Krakowie niepraktykowana — zaczęto odstępować, pragnącym za każdą cenę być na koncercie, ze znacznym zyskiem. Dla informacyi podajemy parę dat dotyczących dziejów tego zespołu.

Orkiestra bierze nazwę od swego założyciela, właściciela i szefa, radcy Dra Franciszka Kaima, wysoce utalentowanego publicysty monachijskiego, a przy tem nader uzdolnionego i muzycznie wykształconego melomana. Działalność swą rozpoczęła orkiestra w r. 1890 w Monachium, lecz byt jej ustaliła rodzina Kaima, zbudowawszy własną wspaniałą salę, znaną dziś w Monachium pod nazwą „Kaim-Saal“, którą w październiku r. 1893 zainaugurowano trzema wspaniałemi produkcyami. Pierwszym dyrygentem orkiestry tej był Herman Zumpe. Po nim kierował nią wyborny kapelmistrz i wybitny muzyk Ferdynand Löwe. Od jesieni r. 1898 sterował nawą wybornego tego zespołu znakomity dziś mistrz batuty Felix Weingartner, podnosząc produkcye orkiestry na najwyższy szczebel doskonałości artystycznej, na które bilety rozkupywano na całe tygodnie przedtem, tak, iż zarząd jej został zniewolony sprzedawać bilety na generalne próby, które odtąd stały się produkcyami.

W ostatnich kilku latach objął po Weingartnerze kierownictwo Jerzy Schneévoigt, muzyk, wybitny kapelmistrz, jeden z najznakomitszych w Europie. Finlandczyk, rodem z Wyborga (ur. 8/11, 1872) poświęcił się Schneévoigt początkowo karyerze wirtuozowskiej, jako doskonały wiolonczellista, wkrótce jednak zamienił smyk na batutę, obejmując przygodnie kierownictwo opery szwedzkiej, bawiącej w Helsingforsie, na którem to stanowisku przepędził lat kilka, zajmując się równocześnie muzyką symfoniczną. W tym charakterze poznał go Weingartner i ustępując z zajmowanego stanowiska, zaproponował go jako swego następcę.

O produkcyach orkiestry, zarówno, jak i wielkich zaletach kapelmistrzowskich jej przodownika, wyraża się prasa tak fachowa jak i codzienna — stale z najwyższem uznaniem, wypisując długie referaty o koncertach jej i o sposobie i pojmowaniu oddawanych utworów przez dyrygenta.

Towarzystwo muzyczne sprowadzając artystów tych — w orkiestrze zasiadają przy wszystkich instrumentach najwybitniejsze siły, prawdziwi mistrze i wirtuozi — do Krakowa, bez względu na ofiary ze swej strony ponoszone, dało dowód wielkiej dbałości i zapobiegliwości około rozwoju kultury muzycznej w podwawelskim grodzie.

urs.



Jerzy Schneévoigt.

Z lwowskiego bruku.

(Słówko o zmarłym prezydencie. — Wiosna we Lwowie. — Zgromadzenia. — Pierwszeństwo Stanisławowa. — Lieblich rozbija armię austryacką. — Hilczer nie ma czasu na odpowiedź. — Wesoła wdówka i wyjazd opery).

O śmierci prezydenta Michalskiego, najpopularniejszego ze wszystkich dotychczasowych prezydentów, piszecie na innem miejscu. Mnie wypada tu tylko zaznaczyć, że o wartości zmarłego prezydenta świadczy najlepiej prawdziwie głęboki żal powszechny, jaki mu towarzyszy do grobu. Nagła katastrofa wstrząsnęła całem miastem tak silnie, że przez cały tydzień o niczem innem nie mówiono, jak tylko o zmarłym i jego wielkich zaletach.

Za życia krytykowano oczywiście nieraz działalność magistratu lwowskiego i adresowano zarzuty do widomej jego głowy, do prezydenta miasta. Ale każdy znał wielkie zalety prezydenta Michalskiego i miał dla niego zawsze i wszędzie szacunek wielki i miłość. Bardziej ulubionego i popularnego prezydenta Lwów nie znajdzie tak rychło. Jako następców wymieniają radnych Riedla, Neumana, dra Lisiewicza, prof. Głąbińskiego i eksministra Piętaka. Są to jednak tylko domysły i nie jest wykluczonem, że żaden z wymienionych nie będzie prezydentem Lwowa. Inni zapowiadają nawet niespodziankę. W każdym razie rozstrzygnie się to w ciągu najbliższego tygodnia.

* *

Poza tem wszystko inne jest wesołe. Wiosna stanęła już u nas jedną nogą, za czem przyszły wszystkie jej oznaki: fiołki, toalety wiosene, „woń“ benzyny automobilowej, kurz, wściekłe psy i — jak w tym roku — zgromadzenia przedwyborcze. Te ostatnie nie są może tak bardzo wesołe, ale obfitują w epizody ucieszne rozmaitego gatunku i wywołują salwy serdecznego śmiechu. Wiadomość, podana w dziennikach, że jedna z krakowskich artystek zjadła szpilkę, wywołała u nas tak wielkie wrażenie, że rzeźnik Mokrzycki zapowiedział na Radzie miejskiej, mające wkrótce nastąpić potanienie mięsa o 2 halerze na kilogramie.

* *

Na punkcie defraudacyj i innych sensacyj kryminalnych, Lwów dał się chwilowo wyprzedzić innemu miastu, które w ostatnim tygodniu dwa razy zajęło sobą opinię publiczną. Miastem tem jest Stanisławów.

Przed kilku dniami rozgłosił sobie sławę oszustwami asenterunkowemi, a dziś znów buchalter Banku zaliczkowego Hilczer buchnął 22 tysięcy i pojechał na kilkutygodniowy wypoczynek, co prawda bez urlopu.

Ten pierwszy wypadek jest bardziej charakterystycznym i rzadszym okazem galicyjskiego przemysłu. Nazywa się Chaim Lieblich ten dowcipny człowiek i od kilku lat pracuje nad rozbiciem armii austryackiej. Robił to w sposób bardzo prosty. Komisya asenterunkowa mówiła o stawającym do poboru, że jest „tauglich“, a p. Chaim Lieblich mówił, że nie jest „tauglich“ i — rzecz dziwna — popisowy nie służył przy wojsku. Takie już miał szczęście p. Lieblich, że jego ocena więcej znaczyła, niż ocena całej komisyi. Jeszcze większym cudem było, że p. Lieblich nieraz nawet naprzód wiedział, czy kto ma służyć przy wojsku, czy nie. Jeszcze gdy komisya nie oglądnęła, a kandydat już wiedział, że nie pójdzie do wojska, choć był zdrów jak koń. Nieraz taki adept był już „w środku“ a jeszcze umiał go Lieblich stamtąd wydostać. Jednem słowem p. Lieblich był cudotwórcą a jego cuda wprawiały w podziw całe miasto. Największym zaś cudem tego cudotwórcy było, że przed kilku laty — zanim jeszcze odkrył w sobie tę moc robienia cudów — był żebrakiem, a dziś jest panem, ma wieś, parę kamienic i kilka grubych worków z banknotami.

Zwracam uwagę na tę jeszcze mało wykorzystaną gałęź przemysłu krajowego. Wprawdzie prokuratorya państwa wtrąca się czasem w ten interes, ale tego rodzaju przeszkody dadzą się łatwo obejść, a w danym razie nawet kilkumiesięczny kryminał opłaci się.

Tak więc armii austryackiej groziło małe rozbicie, przynajmniej na punkcie stanisławowskim.

* *

Drugim tamtejszym bohaterem jest buchalter Hilczer, który stał się głośnym w tym tygodniu i miał to szczęście, że go nie złapano. Dyrekcya Banku telegrafowała za nim na wszystkie strony, ale Hilczer dotąd nie odpowiedział, bo pewnie nie ma czasu. Z pospiesznych pociągów trudno odpowiadać, bo nie zatrzymują się na małych stacyach.

* * *

Za to w samym Lwowie jeszcze nic nowego. W tym tygodniu nie zawaliła się żadna kamienica, ani żaden gzems nie spadł na głowę obywatela, a jedyną sensacyą była „Wesoła Wdówka“, którą po raz pierwszy wystawiono w poniedziałek. Publiczność przyjęła operetkę życzliwie i wracając z teatru nuciła po drodze walce i kuplety, które znamy z kawiarni amerykańskiej.

Teatr zapowiada występy zagranicznych gwiazd przy podniesionych cenach, poczem opera z operetką wyjadą do Krakowa, abyście mogli przez lato delektować się naszą muzyką i Wesołą Wdówką.

* * *

W ostatniej chwili dowiaduję się, że... nie ma nic nowego.

Kl.

Od Administracyi.

Przypominamy Szanownym P. T. Prenumeratorom naszym, że przy każdorazowej zmianie adresu należy nadesłać jednocześnie z nowym adresem 40 halerzy na koszta zmiany.

LUDWIK STASIAK.

KWESTYA NERWOWA.

Humoreska.

Dobry i stały klient mej adwokackiej kancelaryi oddał mi ważną sprawę, która miała się rozstrzygnąć aż... w Grabowie. Ty czytelniku nie wiesz, gdzie leży Grabów, ja nie wiem gdzie leży Grabów. będzie to jednak niewątpliwie wiedzieć poczta. Bo załatwię rzecz tak, jak się w ogóle takie sprawy załatwia, to jest przez zastępstwo. Nawet i mój klient nie żąda odemnie, abym osobiście do Grabowa jechał. Napiszę tedy do jednego z tamtejszych adwokatów list, załączę dokumenty sporne, pełnomocnictwo sądowe, załączę sumę sporną t. j. 1000 koron i kwita. Przygotowałem papiery, teraz trzeba popatrzeć jacy adwokaci są w Grabowie. Otwieram imienny spis adwokatów. Już litera G. już Grabów. Skorowidz powiada, że w Grabowie jest adwokatów trzech, a mianowicie:

1) Dr. Roch Dryblas.
2) Dr. Bronisław Szablewicz.
3) Dr. Mojżesz Szmajgeles.

O żadnym z nich nie słyszałem, żadnego z nich nie znam. Trzeba wybrać jednego z trzech...

Czytam jeszcze raz nazwiska. Kwestya nerwowa. Jaka kwestya? Ależ głupia. Całkiem głupia. Odrazu jednym zamachem postanowiłem powierzyć moje zastępstwo Dr. Bronisławowi Szablewiczowi. Dlaczego? Zapytany o to, nie odpowiadam, natomiast żądam od ciebie, czytelniku, odpowiedzi, komu powierzysz swą własną finansową sprawę z pomiędzy wyżej wymienionych trzech adwokatów? Naturalnie, że Dr. Bronisławowi Szablewiczowi. Dlaczego?

Oh, to straszne: dlaczego...

Poćmy się, aby na to odpowiedzieć. Kwestya to nerwowa, a na nerwowe pytania jesteśmy w stanie dać odpowiedź jedynie nerwami, a nie słowem. Gdyby jednak ową odpowiedź nerwów chcieć wyśpiewać słowami... Strasznie ciężko. Otóż dlatego nie powierzam rzeczy Rochowi Dryblasowi, że on się nazywa Dryblas. Głupia racya? Nie. To nerwowa racya. Dryblas może być bardzo zdolnym do noszenia worków, Dryblas może być parobkiem w łazienkach lub furmanem we młynie, ale Dryblas nie może być zaufania godnym adwokatem. Ja wiem, że to głupie gadanie, ja wiem, że to idyosynkrazya, wiem — a jednak radzę wam, którzy wyroki na mnie ferujecie: nie rozstrzygajcie rozumem kwestyi nerwowej.

Tak samo z tym Szmajgelesem. Ten Dr. Mojżesz Szmajgeles! Ja mu nic nie ujmuję. On i Dryblas to mogą być najlepsi i najuczciwsi ludzie, to mogą być najzacniejsi rodacy. Ja to wiem, ale tego nie wiedzą, w to nigdy nie uwierzą nerwy moje. Te nerwy wielkim głosem wołają: Dryblas nosi wodę, lub jest parobkiem w łazienkach, zaś Szmajgeles albo redaguje polakożerczy dziennik we Wiedniu, albo prowadzi taki dom...

W iluż to sprawach rozstrzyga nie rzecz, nie istota rzeczy ale nerwy! Naprzykład sprawa pożyczania pieniędzy. Ja nigdy nie pożyczam od nikogo ani dziesięciu koron, ani dwudziestu koron, ale zawsze czternaście koron. Dlaczego? Z powodów czysto nerwowych. Gdy kogoś poproszę o dziesięć koron to ten myśli: „chce mię ordynarnie naciągnąć.“ i odmawia. Gdy poproszę o 20 koron budzę w naciąganym dwa uczucia: 1) 20 koron to duża suma, 2) on mi nigdy nie odda. Inna rzecz z czternastu koronami. Ta suma ma dla ludzkich nerwów wyraz wiarygodny. Znajomy myśli sobie: on ma jakiś interes na czternaście koron, on akurat tyle potrzebuje, przycisnęła go potrzeba na czternaście koron, on ma zamiar oddać te czternaście koron! I pożycza. Pożyczył, bom nerwy jego wiarygodną sumą nastroił na ton pożyczenia. Tak samo rzecz się ma z ludzkiem nazwiskiem. Ten Bronisław Szablewicz jak czternastka... Taki zaufania godzien, taki nasz...

Przeczytaj jeszcze raz, czytelniku, powyższe nazwiska adwokatów i wybieraj. Uczynisz to samo, co ja zrobiłem; posłałem akta sprawy, pełnomocnictwo i 1000 koron Dr. Bronisławowi Szablewiczowi.

* * *

Otrzymał on je na dworcu kolejowym. Kupił za nie bilet do Hamburga. Uciekł do Ameryki, zostawiwszy pół miliona passywów. Proces przegrałem, 1000 koron powtórnie zapłaciłem. O przegranym procesie zawiadomili mię dwaj uczciwi ludzie. Byli to Dr. Roch Dryblas i Dr. Mojżesz Szmajgeles. Dobry mój klient wypowiedział mi klientelę. Płakać mi się chce. Ulituj się, kochany czytelniku, nad moją klęską i moją stratą finansową. Pożycz mi czternaście koron. Oddam ci. Daję słowo honoru. Jeśli się was kilka tysięcy ludzi myślących nerwami zbierze, to upomniajcie się potem o zwrot pieniędzy pod moim adresem: Chicago North America Noble Street 220, tuż obok mieszkania Dr̀a Bronisława Szablewicza.

Wykrycie morderców.

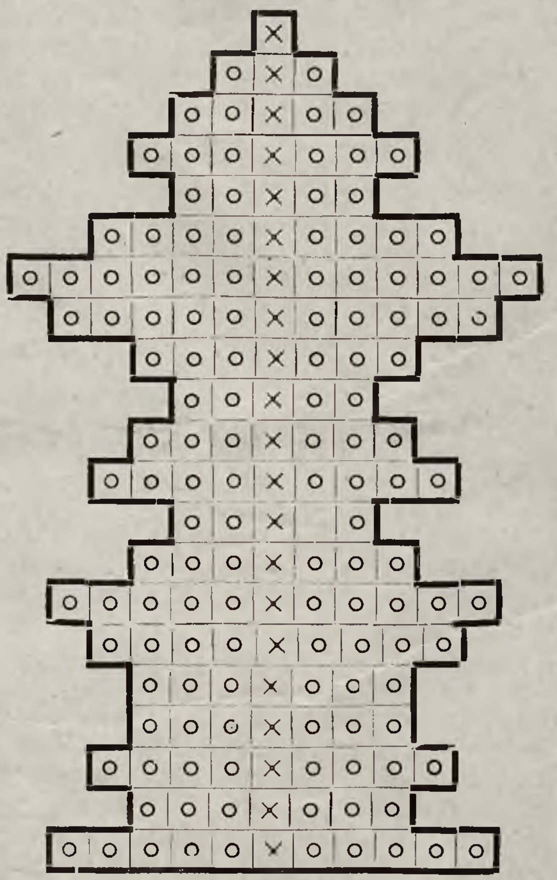
(Do illustracyi na stronie 3.)

Dopiero w dwa tygodnie po morderstwie, spełnionem w celach rabunku na osobach śp. Stanisława Bagniewskiego, 66-letniego urzędnika Tow. kredytowego m. Warszawy, i jego służącej 29-letniej Maryanny Kroczkówny, w mieszkaniu przy ul. Chmielnej l. 38 — wyjaśniło się, kto jest sprawcą ohydnej zbrodni. Różne okoliczności wskazywały od razu, że morderstwa musiał się dopuścić jedynie któryś z kochanków Maryanny. Ale który, skoro policya śledcza stwierdziła, iż Kroczkówna miała w ostatnim czasie stale aż 16 adoratorów. Jakoś po nitce udało się wreszcie dotrzeć do kłębka tajemniczego skrytobójstwa. Uwięziono 19-letniego Jana Pasika (dajemy jego podobiznę), karanego półtorarocznem więzieniem za kradzieże kieszonkowe, a będącego bez zajęcia od czasu, gdy go wypuszczono z więzienia. Na podstawie różnych poszlak dowiedziono mu, że w krytyczny wieczór nietylko był w Warszawie, lecz odwiedzał Maryannę, wobec tego Pasik, który z początku usilnie zaprzeczał wszystkiemu, przyznał się wreszcie do zbrodni i opowiedział jej przebieg. Według zeznań Pasika, przyszedł on ze swym kolegą, 19-letnim stolarzem (którego nazwiska nie można jeszcze ujawniać z powodu śledztwa) do kuchni w mieszkaniu Bagniewskiego wieczorem; siedzieli u Maryanny do późna, a kiedy ta zasnęła około 4-tej nad ranem, zasztyletowali ją. Ponieważ służąca konając chrapała, zbrodniarze zatkali jej usta ręcznikiem, poczem wkradli się boso do sypialni śp. Bagniewskiego, którego również sztyletem zamordowali. Kiedy zaświtało, przewrócili szafy i szuflady w mieszkaniu i zrabowali oprócz sreber i platerów, zegarek złoty z łańcuszkiem, papierośnicę, cukierniczkę, portmonetkę i kupony od listów zastawnych, oraz nieco garderoby. Podzieliwszy się łupem, wyszli rano po otwarciu bramy przez stróża, niespostrzeżeni przez nikogo. Pasik wskazał paserów, którym sprzedali rzeczy zrabowane, policya zaś aresztowała ich i wraz ze sprawcami zbrodni odstawi do sądu.

Zagadki do nagrody

Logogryf.

Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, aby litery wstawione w miejsce krzyżyków czytane w pionowym kierunku z góry na dół, utworzyły przysłowie polskie.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Zwierzę. 3. Ptak drapieżny. 4. Jedna z męskich postaci trylogii Sienkiewicza. 5. Zboże. 6. Kraj na półn. Bałkanie. 7. Imię i nazwisko historyka polsk. 19 w. 8. nazwisko współcz. powieścio-pisarza polskiego. 9. Bogini zemsty. 10. Imię żydowskie. 11. Nazwisko powieścio- i komedyo-pisarza polskiego. 13. Taniec polski. 14. Miasto w Grecyi słynne bitwą w starożytności. 15. Tytuł powieści G. Zapolskiej. 16. Pseudonim poety polskiego. 17. Kraj koronny niemiecki. 18. Miejsce stracenie pod Jerozolimą. 19. Wyspa na Morzu północnem. 20. Część świata 21. Miejsce kąpielowe w w Bawaryi.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek wyznaczamy, jako nagrodę funt wybornych pomadek z cukierni A. Piaseckiego w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 14.

Kryptogryf.

W, San, mucha, Zagłoba, »Huragan«, powój, Lygia, trąba, Korsyka, Mauritius, sirocco, burak, Pol, Wawel, korsarz, Sztokholm, Antilibanon.

Wacław Gąsiorowski.

Arytmogryf.

J, Jur, lalka, Kolinec, nasturcya, Marya Stuart, macierzyństwo, Stanisławów, pocałunek, Marokko, Kowno, Balladyna, Klaczko, Syrokomla, Sienkiewicz.

Juliusz Słowacki, Marya Stuart, Balladyna.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: H. Leligdowicz Fraga, H. Zielińska Manajów, J. Haładej Górki, A. Bocsoń Bóbrka, K. Fuchs Czeremchów, J. Badura Roździeń, B. Fuk Stanisławów, S. Gajdeczko Sieniawa, K. Ludwig Borysław, Alina Lwów, T. Domain Kołomyja, Towarzystwo »Zgoda« Krosno, M. Arbesbauer Lwów, F. Niepokój Krosno, M. Opolska Czarny Dunajec, M. Góyska Bolechów, A. Turski Grąziowa, E. Bogdalska Koropuż, M. Świtlikowa Rzeszów, H. Karatnicka Kałusz, L. Wygrzywalski Kraków, J. Bazylewicz Jaktorów, M. Rożeński Libusza, L. Kowalik Kołomyja.

Nagrodę przez losowanie otrzymał L. Kowalik Kołomyja; prosimy o nadesłanie 35 h. na koszta przesyłki.

Od Redakcyi.

Pan M. M. w Pikułowicach: Rozwiązanie arytmogryfu błędne.

Pan T. D. w Kołomyi: Przy rozwiązaniu arytmogryfu opuścił Sz. Pan 4-ty wyraz.

Pan A. T. w Gręziowy: Libiąż nie leży w Czechach, lecz w Galicyi.

Pani L. B. w Warszawie: Rozwiązanie zagadki z Nru 13 nadeszło zapóźno.

Pani A. Lwów: Jesteśmy niezmiernie wdzięczni Sz. Pani za poczynione nam uwagi. Pozwolimy sobie przytem zacytować dosłownie jeden ustęp z Jej listu: »Wypadałoby Sz. autorowi zagadek przesłać egzemplarz elementarza, pouczającego go o znaczeniu właściwem »rzeczy«, która nigdy nie podpada zbyt indywidualnemu pojęciu przyjemności«.

Wniosek stąd logiczny, że podpadać może pojęciu »niezbyt« indywidualnemu. O co więc Szan. Pani właściwie chodzi?...

Pani M. S. Rzeszów: Tylko Wawer, bo Kowno leży na Żmudzi.